Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 2. Września 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

TOWARZYSTWO NAUKOWEJ POMOCY

DLA KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO.

Szląsk przedstawia nam pocieszający dowód wielkiej żywotności polskiego plemienia. Obumarła ta gałęź, po siedmsetletniem oderwaniu się od wspólnego polskiego konaru, na nowo się zazieleniła i zaczyna się okrywać bujnemi liśćmi. Szląsk przytem jest jawnym dowodem przyszłościowej siły demokratycznych przekonań, pod ich to bowiem potężnym wpływem upośledzona chłopska ludność zgermanizowanemu krajowi przywraca na nowo polski charakter. Przewidział to na początku jeszcze bieżącego stulecia Joachim Lelewel, zwracając uwagę swych uczniów w wileńskim uniwersytecie, że Szląsk i Prusy stracił naród polski przez arystokracyę, a odzyska je przez lud, przez gminowładztwo, przez demokracyę.*)

Świadomość narodowa w księstwie Cieszyńskiem, która jest tylko małą cząstką Szląska, zaczęła się budzić około 1842 r. W tym czasie studenci gimnazjum cieszyńskiego, pomiędzy którymi był i czcigodny dzisiejszy redaktor *Gwiazdki Cieszyńskiej*, Paweł Stalmach, zawiązali pomiędzy sobą stowarzyszenie, mające na celu naukę i pielęgnowanie języka ojczystego. W roku 1848, pamiętnym z demokratycznego poruszenia się ludów europejskich, usiłowania te przybrały szersze rozmiary, zwłaszcza gdy dr. Klucki ze Stalmachem założyli wśród polskiej ludności księstwa Cieszyńskiego stowarzyszenie nauki języka polskiego, czytelnię polską i bibliotekę kraju cieszyńskiego. Dzięki także Kluckiemu i Stalmachowi, zaczął wychodzić w Cieszynie dziennik polski, umiejętnie wypowiadający potrzeby ludu polskiego i gorliwie broniący praw jego.

Od r. 1861 ruch narodowy, przytłumiony reakcyą bachowską, wzmógł się na nowo. Pracownicy szląscy, opierając się na nadanej konstytucyi, która uznała w księstwie Cieszyńskiem język polski obok niemieckiego za krajowy, starają się odzyskać przynależne narodowi prawa i wytworzyć szeroką i trwałą podstawę dla jego moralnego i materyalnego dobrobytu.

Któż z patryotów naszych, pilnie śledzących za rozwojem polskiego ducha, nie przypomina sobie deputacyi szląskiej w Wiedniu w 1861 r., znakomicie napisanej w obronie języka ojczystego petycyi z 1871 r., pięknych i gorących przemówień na zgromadzeniach ludowych w Sibicy i Ropicy, braterskiego uczucia gości szląskich we Lwowie, energicznego a dzielnego wystąpienia posłów sejmu opawskiego w obronie praw swego narodu, wreszcie tego ważnego wypadku, że poseł do Rady państwa ze Szląska austryackiego, p. Jerzy Cienciała, wstąpieniem swojem do koła polskiego dał świadectwo jedności braterskiej ludu szląskiego z narodem polskim?

Szlachetni pracownicy szląscy, niezłomnie dążąc do podniesienia i rozszerzenia świadomości polskiej pomiędzy ludem swego kraju, w listopadzie 1872 r. zawiązali Towarzystwo naukowej pomocy dla księstwa Cieszyńskiego.

Towarzystwo to ma na Szląsku bardzo ważne znaczenie, ważniejsze aniżeli gdzieindziej. Tam prawie wszystkie zawodowe stanowiska, wymagające wyższego i specyalnego wykształcenia, jak np. profesorów, lekarzy, techników, agronomów, górników itp., zajmują Niemcy, najczęściej nieprzyjaźnie usposobieni dla ludu miejscowego i jego narodowości. Łatwo więc zrozumieć, jak ważnem jest dla przyszłości tego kraju dać krajowcom możność kształcenia się specyalnie w rozmaitych zawodach, co ułatwi im pozyskanie należnego wpływu i znaczenia we własnem społeczeństwie, a z drugiej strony powstrzyma napływ niechętnych nam *kulturträgerów*.

Obowiązkiem uczucia narodowego i wzajemności plemiennej, jaka istnieć powinna pomiędzy ziemiami polskiemi, jest poprzeć z naszej strony galicyjskiej jak najsilniej usiłowania braci naszych Szlązaków. Tem łatwiej uczynić to można, że roczna opłata członków Towarzystwa wynosi wszystkiego 1 złr. Ci, co zapłacą 20 złr. od razu, zostają wieczystymi członkami. Wreszcie „wszelki i najmniejszy datek — powiada odezwa dyrekcyi Towarzystwa do rodaków po za granicami księstwa Cieszyńskiego — ile kogo sobie stać bez zrobienia uszczerbku, będzie wdzięcznie przyjęty, a każdy łaskawy dawca może mieć uspokajające przekonanie, że złożył swoję ofiarę na cel szlachetny.“ Towarzystwo istnieje już cztery lata i w przeciągu tego czasu wspierało corocznie prawie piętnastu uczniów, wprawdzie małą ale nader skuteczną zapomogą. W ubiegłym roku dało materyalne poparcie dwóm słuchaczom nauk lekarskich (jednemu w Wiedniu, drugiemu w Krakowie), jednemu słuchaczowi filozofii w Wiedniu, dwóm uczniom rolnictwa, dwóm kandydatom do stanu duchownego, wreszcie kilku uczniom gimnazyum, szkoły realnej, seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie i Bielsku.

Pomimo tak niskiej rocznej opłaty, Galicya nieliczny jeszcze dotąd bierze udział w tem Towarzystwie. Wieczystych członków z naszej prowincyi jest wszystkiego dziesięciu, a pomiędzy nimi *Filia Towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie*, która daje innym filiom godny przykład do naśladowania. Zwyczajnych członków w Galicji jest 122. Największy udział bierze Lwów (73 członków), następnie Stanisławów (16 czł.), dalej Kraków (11 członków). Tarnów dostarczył tylko jednego członka, a takie ludne miasta, jak Sambor, Tarnopol, Śniatyn, Jarosław, Przemyśl itd. niestety dotąd żadnego. Zważając jednak na to, że liczba członków z Galicyi corocznie wzrasta, mamy nadzieję, że stan podobny rzeczy odmieni się znacznie i to na naszę pochwałę. Redakcya nasza z gotowością przyjmuje wszelkie w tej sprawie pośrednictwo.

---

*) W książeczce „Losy narodowości polskiej na Szląsku“ uwydatniono szczegółowo wpływ demokratycznych przekonań na odrodzenie się polskiej narodowości w zniemczonym tym kraju. Zwracamy jeszcze uwagę na tę książeczkę i z tego względu, że całkowity dochód z jej rozsprzedaży przeznaczony jest na korzyść Towarzystwa naukowej pomocy dla księstwa Cieszyńskiego. Główny jej skład znajduje się w Księgarni Polskiej.

KRWAWE ZNAMIĘ,

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

Ziemia, na której od wieków mieszkają ludzie, uprawna ich potem, użyźniona kośćmi, zasiana pamiątkami, wcale inaczej i serdeczniej wygląda, jak najwspanialsza pustynia amerykańska. Tam, gdzie się cywilizacya nie rozwijała powolnie, ale przyszła gotowa, wyrobiona, ze wszystkimi zasobami do zwalczenia i pobicia dzikiej natury, — tam nagłe przejście z głuchej ciszy wieków i żywota drzemiącego, do wrzawy i ruchu, który z sobą przynosi ciżba wędrowców, wypiętnowuje się i na obliczu ziemi....

Dowodem niech będą majestatyczne a pełne dziwnych kontrastów wspaniałe krajobrazy Ameryki, w których środkiem puszcz wiekowych, obalonych nagle, pędzi świszcząca lokomotywa, a na niewytrzebionych jeszcze gąszczach wznosi się obelisk XIX wieku.... komin fabryczny, urągający się starym wolnym Rzymu kolumnom i zapisanym hieroglifami iglicom. Tam rzucony Adam tego raju nie spotyka żadnej pamiątki człowieka, coby go poprzedził, żadne wspomnienie do tych miejsc nie przylgnęło... Widać tylko ślady dzikiego zwierza, burzy i siły roślin niej, która pokrywała rolę, ssąc z niej soki z chciwością.

Jakże tam pusto, smutno, samotnie być musi tym pionierom cywilizacyi, przesadzonym ze starej Europy, której każdy kątek owijają bluszcze wspomnień, gdzie pod każdą stopą gruntu jest grób, spoczywa świadectwo wędrówki, pracy, żywota i zgonu... gdzie na dnie jezior nawet szczęty umarłej, przedhistorycznej cywilizacyi stwardniały pod wodą!..

Jak nowe domostwo, w którem nikt jeszcze nie mieszkał, gdyby nawet było najpiękniejszem, smutnem być musi, tak i te zdobywane dziewicze kraje są zawsze jeszcze pustyniami, poki ich praca i myśl ludzka nie ochrzci.

Jest to przedłużeniem krótkiego bytu człowieka, gdy po za nim, jak zajrzeć, szeregują się wieki.

Prawem postępu łatwego dlań, stąpa człowiek po wybitej ścieżynie. Ta dróżka staje się grobelką, żwirówką, koleją, ale to zawsze ten sam gościniec jeszcze, którym chodzili umarli... co śpią na cmentarzach.

. . . .

W Lubelskiem leży wieś Mielsztyńce, która dziś już inne nosi nazwisko i próżnoby jej szukał na karcie. Znanej i możnej rodziny Spytków, która bardzo wcześnie jakoś zdroniała i niemal wygasła, zieleniła się tam maleńka, zapomniana gałązka. Już w XV. wieku Spytkowie należeli do najbogatszych i największego znaczenia rodzin w kraju. Wspaniałe grobowce, starte napisy, nazwiska dóbr rozległych, jedynie dziś świadczą o Spytkach.... W XVIII. wieku, gdy się nasze opowiadanie zaczyna, zapomniano już o dawnej wielkości panów Spytków. Tylko uczeńsi genealogowie, spotkawszy się z tem imieniem na żywym człowieku, pytali z podziwieniem: czyż podobna. żeby to byli ci sami co ongi Spytkowie....?

Można było o tem powątpiewać, wnosząc z roztaczającego się w koło nich milczenia, ale istotną prawdę zawierały pergaminy i dokumenta, któremi się oni nie chwalili. Z ojca w syna byli to oddawna ludzie jednego ducha i charakteru, starający się tylko o spokój, o ciszę, zgodę z ludźmi i żywot, który nikomu nie zawadzał, nikogo nie raził i nikomu powodu do zazdrości nie dając, dozwolił im w cieniu Pana Boga chwalić. Odrodzili się od Spytków z Mielsztyna, ale im z tem znać już dobrze było, bo od wielu pokoleń z Mielsztyniec się prawie nie wychylali. Musiało coś w starszych podaniach zniewalać ich do tego; szeptano po cichu, iż taki rozkaz swym następcom do kilku pokoleń wydał któryś Spytek, a oni go święcie spełniali. Nikt jednak z pewnością przyczyny tego osamotnienia nie wiedział, sąsiedzi do niego przywykli, zwyczaj uświęcił ten rodzaj życia i nikt się im nie wdzierał w ten kąt spokojny. Mielsztyńce z kilku pięknemi wsiami, z wielkiemi lasami, rozległą bardzo przestrzenią, składały pięknie zaokrągloną całość, odgraniczoną odrębną, a szczęśliwie położoną, że tam nie bardzo kto miał potrzebę zaglądać. Małe miasteczko w pośrodku nad rzeczką i stawem, opodal nieco od niego zamczysko na wzgórzu, otoczone wiekuistemi drzewy; dalej po równinie rozrzucone wsie i folwarki, osady, młyny i pojedyńcze dworki dożywotników, starych sług starej rodziny. Już to szło życie takim trybem, że się wszystko trzymało długo, jednakowo, niezmiennie, a otaczający dwór mielsztyński ludzie także od wieków i pradziadów mu służyli. Kto się ztąd gorączką jakąś i pragnieniem nowości party oddalił, już chyba nie powracał, bo wytrwać by nie mógł w tej atmosferze tak jednostajnej, uspokojonej, milczącej, iż od stu lat może widocznej zmiany żadnej czuć w niej nie było.

Dwór mielsztyński budził ciekawość przybyszów, ale gdy się z nią kilka razy o mury jego nadaremnie obili, a przekonali, że przebić ich nie było podobna, że i ludzie nie mieli ochoty się wygadywać i panowie znajomić, w końcu każdy dawał za wygraną i... jeśli był już bardzo tem tknięty, to się sobie po cichu uśmiechał. Głośno ganić nie było można, bo dokoła aż do Lublina, Spytkowie liczyli tylko przyjaciół; najlżejszej skazy nikt na nich nie znalazł, a ktoby przeciwko nim śmiał się odezwać, na siebieby wyrok napisał.

Dosyć, że w tym pokoju dotrwali Mielsztyńscy aż do końca XVIII. wieku. W okolicy Mielsztyniec, na samej ich granicy, wioska Studzienica, przepyszna posiadłość, od niepamiętnych czasów zostająca w ręku Studzieńskich herbu Leliwa, drogą zamiany i z dopłatą przeszła na innego właściciela. Nabył ją Repeszko niejaki, człek stary, bezdzietny, znany z niesłychanego skąpstwa, a naturalnie też i słynący z niezmiernej fortuny, którą bajecznie obliczano. Pan Nikodem Repeszko liczył naówczas lat sześćdziesiąt, ale je tak nosił, jak gdyby mu one nad trzy krzyże nie ważyły. Był to człowiek statury wielkiej, prawie olbrzymiej, silny, zbudowany dobrze, z maleńką jak na śmiech główką, na szerokim karku i ramionach osadzoną. Płeć miał śniadą, ospowatą, zżółkłą, oczki małe, czarne, łysinę wygoloną, ręce długie i żylaste. Życia był skromnego nadzwyczaj, sam to przypisując pobożności i potrzebie martwienia ciała, chociaż drudzy tłumaczyli skąpstwem, czynny niezmiernie, zapobiegliwy, ruchawy. Ludzie o nim powiadali, że nigdy nie sypiał, nikt go przynajmniej śpiącego nie widział, a choć w jego alkierzyku stało łóżko pokryte starą wytartą skórą łosiową, z poduszką skórzaną turecką, niedocieczonego koloru, nie znać było na niem, ażeby kiedy tu spoczywał. Zwykle siadywał w fotelu wielkim z poręczami, skórą także obitym i tu go ludzie dniem i nocą znajdowali. To pewna, że począwszy od pierwszych kurów do świtu, w nocy go najczęściej spotkać było można tam, gdzie się najmniej spodziewano, ale nigdy w jednej porze, na jednem miejscu, tylko coraz gdzie indziej.

Jednego dnia widziano go po północy przy gumnach, drugiego za stodołą, to znowu na wsi, w polu, a nawet w lesie.... Jak upiór czasem zjawiał się w ogniska nocleżanów na łąkach, na rozdrożach, u karczmy, a w burzę, pioruny, słoty albo w śnieżną zawieję, najprędzej się z nim spotkałeś. Nic mu to nie szkodziło, zacierał ręce, strzepnął się, uśmiechnął i szedł dalej, odmawiając pacierze....

Pan Nikodem był pobożny niesłychanie, gorliwy bardzo katolik, przestrzegacz ścisły wszystkich praktyk i tak na pozór słodki, miły, serdeczny, tak lgnący do każdego, iżby go się pokochać chciało od pierwszej godziny. Lecz po zbliżeniu się do niego stawało się to niepodobieństwem; Repeszko całował, ściskał, upokarzał się i bił w piersi, ale gdzie zaszedł interes, gdzie potrzeba było cośkolwiek zrobić, dać, ofiarować twardym był jak skała. Swoim obyczajem wymawiał się miodem, cukrem, samemi pochlebstwy i słodyczami, ale dać nic nie dał.

Nigdy się nie obrażał, pokornym był nadzwyczaj, dla miłości Zbawiciela darował wszystko,.. choć nigdy niczego nie zapomniał. Wyściskał nieprzyjaciela, lecz jeśli mógł mu dać naukę, nie poskąpił, zawsze z uniżonością, dyskrecyą i poszanowaniem. Repeszko miał i to do siebie, że się wcisnąć lubił wszędzie, wiedzieć musiał o wszystkiem i znać każdego. Nie zrażał się zimnem obejściem, okazaną obojętnością lub niechęcią, zdawał się ich nie rozumieć i szedł dalej biorąc zawsze wszystko z najlepszej strony...

Przybywszy do Studziennicy, w okolicę wcale sobie nieznaną, pan Repeszko pojechał naturalnie i do Spytków, ale tam nie bardzo sobie podobał i od tej pory, choć się o nich wyrażał z największem poszanowaniem, przypiął się do Mielsztyniec z jakąś nadzwyczajną chciwością dowiedzenia się, badania bliższych stosunków i znajomości. Nikt mu do tego pomódz nie mógł, ale go to nie zrażało. Raz namotawszy na wąs był on z tego rodzaju ludzi, co nie łatwo powziętą myśl porzucają. Powtarzał między innemi przysłowiami często i festina lente. W okolicy, kogokolwiek zarwał o Mielsztyńce i Spytków, wszyscy go zbywali milczeniem i spojrzeniem ukośnem, jakby dając do zrozumienia, że wdał

się w rozmowę niewłaściwą i ostrzegając by jej nie wznawiał. Nie zrażało to jednak Repeszki, a że był człowiek łagodny i nic nie czynił przebojem, szedł pomalusieńku do celu. Z tych badań, na pozór bezskutecznych, zawsze mu się coś zostawało, a upór, z jakim mu odpowiadano milczeniem, dawał wyobrażenie o ważności tego przedmiotu, którego nikt dotknąć nie śmiał.

Dlaczego tak Mielsztyńce Repeszkę zajmowały gorąco, domyślano się z tego, co o nim w Brzeskiem mówiono, gdzie Pociejów jakichciś, zainsynuowawszy się do ich domu, ostatecznie podkopał i wyssał, — że te same mógł mieć zamiary na spokojną Spytków rodzinę. Może się też i mylono, bo Repeszko, ile razy owych zrujnowanych Pociejów wspominał, ręce składał, łzami się oblewał i wyrażał o nich jako o ludziach najgodniejszych, których los nieszczęśliwy serce mu zakrwawia.... Nie mógł nawet mówić o nich długo, tak go to wiele kosztowało.

Postanowiwszy bądź co bądź przebić tę grubą zasłonę tajemnicy, która okrywała samotne zamczysko mielsztynieckie, Repeszko postąpił sobie bardzo zręcznie. Wyszukał jedynego człowieka, który tam bywał od lat wielu i zdawał się w jak najlepszych zostawać stosunkach ze dworem. Był nim proboszcz parafii sąsiedniej, ksiądz Ziemiec, staruszek, dobry człowiek, ale łatwowierny niezmiernie i łatwo ująć się dający. Chociaż w Mielsztyńcach był proboszcz miejscowy i wikary, ksiądz Ziemiec, dawniej zajmujący owę prebendę, z której się przeniósł na spoczynek do Studziennicy dobrowolnie, zachował przyjacielskie stosunki z kolatorami i niekiedy ze mszą tam jeździł do zamkowej kaplicy; mówiono nawet, że sam pan Spytek nie spowiadał się u nikogo, tylko u niego. Ks. Ziemiec był aniołem dobroci, ale ośmdziesięciu lat dochodząc, nieco zdziecinniał, Repeszko go tem ujął, że w kościele klęczał przed prezbyteryum, modlił się ze złożonemi rękami, bił w piersi tak, że po całym kościele słychać było, a niekiedy krzyżem leżał. Księdza całował w rękę i był dlań z taką rewerencyą, jak nikt ze szlachty okolicznej.

Prawda, że gdy w to uwierzywszy, staruszek się do niego o trochę drzewa na poprawę ogrodzenia cmentarnego odezwał, odmówił pan Repeszko, ale list zawierający ekskuzę był tak pokorny i tak usprawiedliwiający go, że mieć do niego żalu nie było można. Postrzegłszy, że ks. Ziemiec lubi czasem grywać w maryasza na zdrowaśki za dusze z nikąd ratunku nie mające, a przy tej grze się ożywia i gaduli, pan Repeszko począł do niego chodzić po obiedzie na partyjkę. Miał w zysku także, iż się to pociągało ku wieczerzy i że w ten sposób oszczędzał w domu niepotrzebnego koło gotowania na jednę osobę zachodu.

Przy maryasiku powoli, nieznacznie brał na lekkie tortury starowinę.....

Był pewnym swego, bo ks. Ziemiec już się z nim tak spoufalił, że mu anegdoty z czasu młodości swej opowiadał, ale gdy tylko o Spytków zagadnął, proboszcz milczał jak kamień, odwodził rozmowę, nawet maryasza przerywał i kończyło się na tem, iż z niego nic dobyć nie było podobna.

Repeszko przekonawszy się, że podkopy nie pomogą, postanowił zrobić wyłom i szturm przypuścić.

Jednego tedy poobiedzia chmurnego, znowu pociągnął ks. Ziemca.

— E! dałbyś asindziej pokój, — rzekł proboszcz; co tam ciekawego w tych Mielsztyńcach, że one wam spać nie dają. Ludzi zacnych dwoje.... siedzą cicho i pragną izby o nich świat zapomniał.

Tu dopiero Repeszko, położywszy karty, odezwał się otwarcie:

— Księże proboszczu dobrodzieju... najzacniejszy, złoty księżuniu, sercem najukochańszy, którego w duszy mej noszę, weneruję i wyrazów nie mam na to, jakiemi dlań synowskiemi uczuciami pałam, wytłumaczyć mi to racz, dlaczego ci godni, najzacniejsi, ze wszech miar szanowni państwo Spytkowie, jedni tego na całym świecie używać mają przywileju, iż o nich nikomu mówić nie ma być wolno? Nie pochlebiam sobie, żebym miał rozum najbystrzejszy, wszakże najpośledniejszym z ludzi też nie jestem, a wszelako tego nie rozumiem.

Ksiądz także karty położył, na ręku się oparł i jakby głosu w piersi zabrakło, rzekł z cicha:

— Kochany panie.... dałbyś bo tej chciwości pokój.... opowiem ci lepiej dykteryjkę.

— Powiedz ojcze dykteryjkę, słucham z największą uwagą, proszę... Człek się całe życie uczy i nabierać pragnie, a od kogoż nabierze, jeśli nie od świętobliwych jak wy, i siwizną przez Boga za przykładne życie błogosławionych.

Dawszy mu się wygadać z temi słodyczami, bez którychby nigdy się u Repeszki nie obeszło, ksiądz podparł się na łokciu i począł w ten sposób:

— Było to lat kilkadziesiąt temu. Jam naówczas był wikaryuszem w Lublinie przy kościele św. Michała, bo wypadek, który wam opowiem, jest prawdziwy. Zdawna tam obiegały o tem pogadanki, iż około onego pnia dębowego, na którym wielki ołtarz był założony, fundator kościoła skarb wielki zakopać kazał, aby w jakiej ostatecznej domu Bożego potrzebie znaleziony, mógł mu służyć na podtrzymanię i ozdobę.

Otóż choć ów skarb na kościół był przeznaczony, jak podanie głosiło, nie spało łakomstwo ażeby go sobie przywłaszczyć, i ten i ów dłubali a świdrowali około pnia i ołtarza, a nuż nań trafią. A jak to ludzie w potrzebie sobie wszystko wykrętnie tłumaczyć umieją, powiadali tedy sobie: jeśli skarb dostanie się duchownemu, toć kościołowi, bo duchowny do kościoła należy. Ale to są rzeczy uboczne i do mojej dykteryjki właściwie nie należące. Tandem, nie wiem tam już kiedy i za którego proboszcza, zakrystyan, który o tym skarbie od poprzednika miał tradycyę, począł próbować, a nuż będzie od innych szczęśliwszy.... Podnosił tedy posadzkę po jednej tafli i żelaznym drążkiem ziemię wiercił. Jednym razem stuknęło owo żelazo o coś, jakby o wieko kufra lub skrzyni. Zakrystyan mało nie oszalał — do proboszcza, bo choćby był chciał przed nim się skryć z ową tajemnicą, nie miał sposobu. Samby rady nie dał, więc musiał kogoś wezwać na pomoc, a wolał już proboszcza, niż innego. Dał się skusić ksiądz. Nocą poszli do kościoła, próbują... brzęczy, rozlega się echo. . jest coś... Dalej do rydli, do motyk, do łopat, ziemię we dwóch wynosić. Nie szło to łatwo, bo trzeba było dobywać się dosyć głęboko, a wydobytą ziemię kryć, aby się ludzie nie domyślili, i na dzień dziurę płytą nakrywać. Słowem, namordowali się dobrze przez trzy noce, i zakrystyan bodaj nie poderwał się, gdy naostatek pokazała się skrzynia żelazna... Nowy kłopot, jak ją wywindować, co z nią zrobić? Ksiądz nie był bardzo silny, chcieli zrazu podważyć, ale ani drgnęła, jak przykuta, okopali dokoła. Z jednej strony okazały się zamki mocne, nuż próbować kluczów, jakie się tylko przy kościele znajdowały, ale żaden się nie przydał. Napocili się dobrze a darmo. Drugiej nocy zakrystyan, młota i dłuta dostawszy, jął majstrować aby odbić. Myśleli na pewne, że złoto garściami wynosić będą... co stukną to się im złoto odzywa. Są pieniądze! Ale w kościele, po nocy, a jeszcze w takim, co tuż ponad ulicą stoi i w ludnem mieście, gdzie każdego czasu po Grodzkiej ulicy ludziska się włóczą, hałasu i szczęku robić nie było można... szło tedy bardzo powoli.

A tu i chciwość niepoczciwa i ciekawość okrutna piekła. Mało się nie pochorowali. Zamki jak zaczarowane nie puszczały. Postrzegli zaraz, że nie jeden był, ale trzy, a wszystkie tak hartowne, że ich wiekuista rdza nie tknęła... Wziął się tedy zakrystyan do głównego, i jakoś go przecie otworzył, ale gdy drugi odmykał, pierwszy się znowu zatrzasnął; a że było ich trzy, zmiarkowali iż inaczej skrzyni nie otworzą, tylko przybrawszy sobie trzeciego pomocnika, żeby razem wszystkie ruszyli. Rozumny ów skrzyni fundator obmyślił to dobrze, aby skarbu ludzie źli nie naruszyli samowolnie, albowiem kędy dwóch jest, trudno tajemnicę utrzymać, kędy trzech niepodobna. Nie było jednak innego środka, tylko już ślusarza sobie przybrać, zakląwszy go aby święcie tajemnicy dochował. Proboszcz zamówił na następną noc bardzo pobożnego majstra, który miał robotą kierować. Spuścili się tedy do wykopanego dołu i przy stoczkach i świeczkach dłubali. Cóż jegomość powiesz. Miesiąc upłynął, a rady sobie dać nie mogli, aż wszyscy powysychali na szczypy, ani jeść, ani pić, ani spać, zakrystyan już krwią pluć począł, gorączka go trawiła. Nareszcie w piątym pono, czy szóstym tygodniu, otwarły się wszystkie trzy zamki razem i wieko odskoczyło. Ale naprzód z niego jakby opar jakiś poszedł gęsty, który im oczy zaćmił i zatamował.., Rzucili się wszyscy razem do skrzyni, spodziewając złota i drogich kamieni... No, jak się panu zdaje, co też znaleźli?

— Najszanowniejszy księże proboszczu dobrodzieju, — rzekł Repeszko — nic nie wiem, ani miarkuję.

— Na dnie... kończył staruszek...

— Skrzynia więc nie była pełna? — przerwał Repeszko.

— Nietylko, że pełną nie była, dodał ze śmiechem ks. Ziemiec, ale całkowicie próżną... na dnie leżał zbutwiały kawałeczek pergaminu i maleńki pozłacany relikwiarzyk, mocno zaśniedziały, zawierający cząsteczkę

...ty Chrystusowej, według tradycji, obdartej ...ez żołdaka, gdy go obnażono, aby przy... na krzyżu. Relikwia ta wielkiej ceny, ...ywieziona z Jerozolimy przez jednego krzy...vca, była całym owym skarbem.

Pan Repeszko milczał zadumany.

— Otóż, rzekł ksiądz Ziemiec, niech pan dobrze zważa, aby z ciekawością i ...hodem wielkim, kusząc się o otwarcie miel...yńskiej skrzyni, także tam ino pamiątek i ...kwi nie znalazł.

Zarumieniłby się był pan Repeszko, ...yby mu płeć śniada i opalona, do skóry ...prawnej podobna, dozwoliła blednąć i ...rwienieć. Co tam pod tą maską nieprze...ą się działo, on sam tylko wiedział. Po...eszył się wytłumaczyć i zaprotestować, że ... żadne inne uczucie, tylko miłość bliźniego ...ała mu starać się poznać ludzi, aby im ...dług możności być użytecznym.

— A! księże proboszczu dobrodzieju, ...kł niby z lekką urazą — jakże mnie też ...te serduszko wasze mogło posądzić, abym ...ał jakieś powody nie całkiem czyste, a ...owaj Boże interesowaną do wcikania ... w poufalszą znajomość państwa Spytków?.. ...że mnie to boleśnie, ojcze mój, iż w aniel...em sercu waszem na lepszą jeszcze nie ...łużyłem sobie opinię!... Ale świadkiem ...n, który wszystko widzi i czyta w ser...h ludzkich najskrytsze myśli, iż ja mize...a, któremu los i praca własna nad wszel... zasługę poszczęściły, com się w pocie ...ła a za wyraźną opieką Bożą dorwał ka...łeczka chleba — mam go do syta i ni...go już nie pragnę, byle tam to chudopa...olstwo moje zachować w całości, a prze...zać na dobre uczynki. kościółki ubogie, ...pitaliki, mszyczki i w ręce poczciwych...

— A no dość, dość, przerwał ks. Zie...ec, to była dykteryjka, aby gadać. Rozda...j waść karty, a daj mi za to pamfila ...ręki, tuza i króla... i już tam o tych po...ciwych Spytkach nie mówmy.

Zawiódł się tedy i tu pan Repeszko, ale ... wygranę nie dał. (C. d. n.)

...SPRAWA POLSKO-PRUSKA

NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM,

przez

M. Kanteckiego.

In historia cuncta ad veritatem referuntur
Cicero. De legibus I. 1. 5.

I.

Wcale nie pocieszające zaiste wrażenie ...awia na nas początek piętnastego stulecia. ...owy świat, wyrosły na gruzach rzymskiego im...ryum, a odbijający w pierwszych wiekach swego ...nienia tak świetnie od zgnilizny pogaństwa, ...rzęznął w materyaliźmie i grubej zmysłowości. ...nęły śmiałe zamysły wielkiego wnuka Martela, ...óry Europę całą, w jednym połączoną kościele, ...d jednem złączyć chciał berłem. Ustały wojny ...zyżowe, brzemienne w wielkie dla ludzkości ...rzyści; te same ludy, które dawniej wspólnemi ...ami w religijnem uniesieniu ciągnęły na oswo...dzenie z rąk niewiernych Grobu Zbawiciela, ...róciły broń swą jeden przeciwko drugiemu. ...l południa parła naprzód potęga muzułmańska, ...raz głębiej i silniej na bałkańskim półwyspie zapuszczając korzenie, i groziła całemu chrześcijańskiemu Zachodowi podbojem i zniszczeniem. Aby się oprzeć tej groźnej nawale, potrzeba było nowych krucyat, nowego połączenia wszystkich sił chrześcijańskich, a o tem w ówczesnych stosunkach trudno było pomyśleć. Bo nie tylko, że znikł już bezpowrotnie duch, który potrafił wywołać wyprawy krzyżowe — stanęły temu także na przeszkodzie zatargi i niesnaski, szarpiące bezustannie wnętrze chrześcijańskiej Europy. Na zachodzie pochłania wszystkie zasoby wojna między Francyą i Anglią — na północnym wschodzie toczy się od dwóch już blisko wieków zaciekły bój pomiędzy Polską a krzyżackim Zakonem, walka o śmierć lub życie dwóch od dawna nieprzyjaźnych sobie żywiołów: Słowiańszczyzny i Teutonizmu.

A gdzież szukać potęgi, któraby pogodziła zwaśnionych i silną dłonią ujęła ster zagrożonego zupełną zagładą społeczeństwa? — Kościół rzymski, mający łączyć w sobie i przez siebie wszystkie narody, sam teraz rozdarty — trzech naraz następców św. Piotra walczy ze sobą o najwyższą w duchowym świecie władzę. Na tronie niemieckim, reprezentującym, choć tylko, idealnie, największą w chrześcijańtwie świecką potęgę, zasiadł Zygmunt Luksemburski, król węgierski, według słów Szajnochy „najkrotofilniejsze zjawisko, jakie tylko wydać mógł zwietrzały już romantyzm XIV stulecia, w połączeniu z lichym charakterem indywidualnym i również niepochlebnemi żywiołami narodowości teutońskiej.“ *)

Jednakże na tym monarsze musiał wreszcie spocząć ciężar uregulowania europejskich stosunków, już to, że reprezentował, jak się wyżej rzekło, choć tylko pozornie, największą w Europie potęgę, już wskutek związanych z tronem, na którym zasiadał, tradycyi, już nareszcie i z tego prostego nader powodu, że nie było nikogo, coby mógł był zająć się tak ważnemi, ale trudnemi zarazem sprawami.

Zygmunt z wielkim, przyznać mu to trzeba, zapałem, zabrał się do dzieła, które igraszka losu na wątłe jego wtłoczyła barki. Nęciło go do tego z jednej strony znane zamiłowanie w teatralnej pompie; bo i kiedyż mogła mu się lepsza nadarzyć sposobność rozwinięcia całego majestatu i cesarskiej powagi przed liczniejszem zebraniem, jak w tej właśnie chwili, w której na zwołany do Konstancyi sobór powszechny ze wszech stron mnogie świeckich i duchownych dygnitarzy gromadziły się zastępy. Z drugiej strony mógł się spodziewać łaknący wiecznie pieniędzy Luksemburczyk, że obfite dary licznych, ścierających się ze sobą stronnictw, spłyną do jego bezdennej skarbnicy, a niedaleka przyszłość okazała, że go rachuby w tym jednym względzie nie zawiodły. Nie mogło mu być również obojętnem niebezpieczeństwo, grożące niemieckiemu cesarstwu, a przedewszystkiem jego dziedzicznym Węgrom od południa ze strony Turków; skory zawsze do fantastycznych pomysłów, chciał on pogodzić ze sobą walczące na zachodzie i wschodzie strony, a usunąwszy arcy zgubną dla całego chrześcijaństwa schizmę kościelną, utworzyć wielką ligę przeciwko Islamowi.

*) Jadwiga i Jagiełło II. 58. Że sąd autora,, Jadwigi i Jagiełły“ surowy wprawdzie, ale sprawiedliwy, o tem przekonać się można, czytając Aschbacha “Historyę cesarza Zygmunta“. W dziele tem, którego autor bardzo stronniczo ocenia Zygmunta, baczny czytelnik doczyta się „pomiędzy wierszami“ tego samego prawie, co powiada nasz Szajnocha. Porównaj n. p. tom II. str. 37. w. 8; 38 ww. 7. 8. 9. 237 7—11; 248, 3—5 (od dołu) i wiele innych miejsc.

II.

Nie myślę tu opowiadać, choćby tylko w krótkiem streszczeniu, historyi soboru konstancyeńskiego, bo rzecz ta nie wchodzi w zakres mego opowiadania. Idzie mi tylko o przebieg sprawy polsko-pruskiej na rzeczonem zebraniu, a ponieważ nie podobna zrozumieć jej należycie, nie poznawszy wpierw jej przyczyny i sposobu, jakim się dostała pod rozstrzygnięcie konstancyeńskiego zgromadzenia, przeto pozwolę sobie na wstępie rzucić kilka uwag o stosunku Zakonu do Polski.

Sprowadzeni przez mazowieckiego Konrada do ziemi chełmińskiej przeciwko pogańskim Prusakom Krzyżacy, okazali już w roku 1234, a więc zaledwie w sześć lat po przybyciu na ziemię polską, jawnie swe zamiary, łącząc się z braćmi dobrzyńskimi i zabierając pod swą władzę, mimo protestu Konrada, Dobrzyń wraz z przyległościami. Od tego czasu ustają wszystkie przyjaźne stosunki między Polską a Zakonem, i odtąd żaden już książę polski nie wspiera Krzyżaków w wojnie z Prusakami.

Potęga Zakonu rosła tymczasem coraz bardziej, z każdym niemal rokiem dalej zapuszczając swe korzenie. W roku 1237 łączą się Krzyżacy z kawalerami mieczowymi, osadzonymi roku 1200 w Inflantach; w r. 1283 widzimy już całe Prusy w ich ręku, a wkrótce nadarza im się sposobność zagarnięcia Pomorza, na które Zakon od dawna chciwym spoglądał wzrokiem. Gdy po śmierci czeskiego Wacława, niektórzy pomorscy wielmoże, niezadowoleni z energicznych rządów Łokietka wezwali r. 1308 na pomoc margrabiów brandeburskich, którym Wacław III. w zamian za Miśnię Pomorze był odstąpił, ci, nie namyślając się długo, wtargnęli z licznym wojskiem do ziemi pomorskiej i w krótkim czasie całą ją prawie opanowali. Tylko zamek gdański, gdzie się znajdowała polska załoga, opierał się jeszcze zamachom nieprzyjacielskim. Zajęty wewnętrznemi sprawami państwa, Łokietek, nie mógł do oblężonej twierdzy z potrzebną nadbiedz odsieczą, zaproponował więc w ostatecznem niebezpieczeństwie prowincyonalnemu mistrzowi, Henrykowi de Plocke, aby wsparł silnym oddziałem załogę gdańską, za co zobowiązywał się po skończonej wojnie wypłacić mu poniesione koszta. Nie omieszkał zdradliwy Krzyżak korzystać z tak pomyślnej dla swych zamysłów sposobności; pod dowództwem Guntera ze Szwarcburga wkroczył oddział krzyżacki do obsaczonej twierdzy, ale gdy wojska brandeburskie, wycieńczone długiem obleganiem, odstąpiły wreszcie z pod murów Gdańska, Krzyżacy nie tylko że nie opuścili zamku, lecz wnet całego prawie stali się panami Pomorza. Łokietek za słaby jeszcze wtedy, aby się z orężem w ręku mścić za doznaną krzywdę, zaniósł skargę na Krzyżaków do rezydującego naówczas w Awinionie papieża. Mianowana przez Jana XXII dla rozsądzenia tej sprawy komisya, ogłosiła 10 lutego r. 1321 wyrok, który Łokietkowi ziemię pomorską słusznie przysądzał, ale do którego ufni w swe siły Krzyżacy bynajmniej nie myśleli się stosować.

W tymże samym prawie czasie (r. 1309) przeniósł Zygfryd de Feuchtwangen siedzibę wielkich mistrzów z Wenecyi do świeżo nad Nogatem zbudowanego Malborga, przez co ziemia pruska, stanowiąca dotychczas podrzędną tylko prowincyę, zamienioną została w centralny punkt

potęgi Zakonu. Dzierżawy krzyżackie obejmowały teraz: ziemię chełmińską, Prusy, Pomorze, ziemię michałowską (zagarniętą w r. 1305) i niektóre posiadłości w ziemi dobrzyńskiej.

Wojna, którą Łokietek, ustaliwszy się na tronie, przeciwko Krzyżakom rozpoczął, skończyła się mimo dotkliwej dla Zakonu klęski pod Płowcami (27 sierpnia 1331) wcale nie pomyślnie dla Polski, bo cała ziemia kujawska dostała się w posiadanie Krzyżaków.

Następca Łokietków, syn jego Kazimierz, spostrzegł od razu bystrym swym wzrokiem, że Polsce, aby mogła kiedykolwiek powetować zadane jej przez Zakon klęski, przedewszystkiem potrzeba niezakłóconego z nikąd pokoju, któryby zagoił wewnętrzne rany, wstrzymujące wszelki rozwój jej sił i wystawiające ją na bezkarnie napaści sąsiadów. Tem kierowany uczuciem, starał się wielki ten rzeczywiście monarcha, za jakąbądź cenę zawrzeć pokój z Krzyżakami, co mu się też wreszcie po długich zabiegach w r. 1343 udało. W skutek ugody kaliskiej otrzymał Zakon na własność ziemię chełmińską i michałowską wraz z punktami: Nieszawą, Orłowem i Murzynowem w Kujawach; Pomorze nadawał Kazimierz Krzyżakom jako lenno, z którego wielki mistrz miał składać hołd królowi polskiemu. Za to odzyskiwała Polska: Kujawy, Dobrzyń i powiat bydgoski. *)

Przez podbicie ziemi pruskiej wszedł Zakon niemiecki w bezpośrednie sąsiedztwo z pogańską jeszcze Litwą, i odtąd wszystkie jego dążenia nacechowane są żądzą nabycia tej rozległej krainy. Ale podbicie Litwy nierównie większe przedstawiało trudności, aniżeli ujarzmienie Prusaków. Prusacy, to lud nie złączony silniejszymi między sobą węzły, nie mający nad sobą wspólnego pana, któryby mógł by silnie zorganizowany wrogowi stawić opór; w Litwie widzimy już to mniejsze, już większe państwa, których władcy, wsparci zrobionem na pobratymczych Prusakach doświadczeniem, pojmują całe niebezpieczeństwo grożące im ze strony Zakonu i umieją stawić czoło groźnemu nieprzyjacielowi, czy przychodzi na otwartem potykać się polu, czy zdradą płacić za zdradę, za podstęp podstępem. Mindowe, Gedymin, Olgierd, Kiejstut, Witołd: oto chrobrzy bohaterowie, na których zbywało Prusakom, a w których Zakon arcy-niebezpiecznych zawsze znajdował przeciwników.

Połączenie Litwy z Polską, dokonane przez małżeństwo Jagiełły z Jadwigą, chrzest Litwy, otrzymany z rąk Polski, skrzyżowały niespodzianie chytre zamiary Zakonu. Zniknęła aureola apostolstwa, otaczająca krzyżackich wojowników wobec Europy — Zakon okazał się nareszcie w jedynie prawdziwej postaci.... jako przedmurze Teutonizmu na Wschodzie. Ale zanadto już zżył on się z tą myślą, którą sobie jako najbliższe na teraz zakreślił zadanie, aby pomimo tak niepomyślnego dla siebie zwrotu rzeczy, od razu dawać za wygraną i zrzec się wszelkiej nadziei posięścia Litwy. Po długich i mozolnych zabiegach udało mu się wreszcie przyłączyć do swoich dzierżaw najbliższą sobie Żmudź, której posiadanie zatwierdzonem mu zostało ostatecznie przez Jagiełłę w Raciążu r. 1404 W temże samem miejscu i czasie wykupił Jagiełło od ówczesnego mistrza Konrada de Jungingen za 28000 grzywien Dobrzyń i Złotoryję, które opolski książę, Władysław, znany powszechnie pod nazwą Naderspana w r. 1393 Krzyżakom dał był w zastaw.

Na zjeździe w Toruniu następnego roku pokwitował wielki mistrz z otrzymanej sumy, przyczem Jagiełło rozpoczął traktowania o Drezdenko i Santok, ważne bardzo dla Polski, bo na granicy Nowej Marchii położone miasteczka, do których Polacy z dawna rościli sobie pretensye. *) Ale ani na tym, ani na kilku innych zjazdach nie przyszło w tej sprawie do zgody i jej to przypisać należy „wielką“ wojnę z roku 1409-10. Bitwa pod Tannenbergiem (15. lipca 1440) złamała na zawsze siłę Zakonu, pokój toruński jednakże wrócił Polsce tylko Żmudź; spór o Drezdenko i Santok obiecano sobie oddać pod rozstrzygnięcie osobnej komisji. Na zjeździe w Grabiu w Kujawach r. 1444 zażądali już polscy magnaci nietylko Drezdenka i Santoka, ale także Pomorza, ziemi chełmińskiej i michałowskiej. *) Były to nie małe, wyznać trzeba, żądania, ale trafiały w sam rdzeń tyloletnich sporów i wojen; dopóki bowiem Polska nie odzyskała ziem, wydartych jej przez Zakon, dopóty pokoju między nią a Krzyzactwem w żaden sposób być nie mogło. Krzyżacy nie przystali, jak to łatwo można było przewidzieć, na takie żądania — nastąpiła wojna, szerząca w około siebie śmierć i zniszczenie. (C. d. n.)

*) Inaczej zupełnie zapatruje się na pokój kaliski Stan. Kaczkowski w dziełku swem pod tyt. „Krzyżacy i Polska“; na str. 48 czytamy tam co następuje: „Bez wynalezienia powodów sądzić musimy czyny i wyrzeć w ogólności, że król, który wewnętrznym rządem najlepiej się krajowi zasłużył, przygotował mu liczne klęski i krzywdy, utorowaniem germanizmowi, drogi do środka Słowiańszczyzny. Uczynił on to bez prawa, samowolnie, ale uczynił“. Szanowny autor sam nam przeciwko sobie daje broń do ręki, twierdząc w co dopiero w przytoczonym ustępie, że się Kazimierz „wewnętrznym rządem krajowi najlepiej zasłużył.“ Czyżby bowiem wiekopomnej pamięci król chłopków mógł był oddać się z takim skutkiem wewnętrznym sprawom państwa, gdyby wpierw nie był się zabezpieczył ze strony Krzyżaków? Zresztą Pomorze znajdowało się już od 34 lat w ręku Zakonu, gdyż wszelkie zabiegi dzielnego Łokietka, w celu odzyskania tej dzielnicy, pozostały bez skutku. I to zauważyć należy, że Kazimierz przyznawał Pomorze Zakonowi jako lenno, z którego winien był wielki mistrz składać hołd królowi polskiemu (Idę tu za Naruszewiczem, Helclem i Szajnochą). Zarzut, jakoby Kazimierz miał utorować germanizmowi drogę do środka słowiańszczyzny i przygotować Polsce liczne klęski i krzywdy, jest co najmniej śmiesznym frazesem. O całem dziełku p. Stan Kaczkowskiego to tylko powiedzieć można, że nie odpowiada bynajmniej oczekiwaniom, jakie w każdym wzbudza szumny jego tytuł. Co o odstąpieniu Pomorza sądzi Szajnocha, zobacz dzieło jego: Bolesław Chrobry, Odrodzenie się Polski za Władysława Łokietka“ str. 472.

*) W roku 1365 po śmierci Ludwika brandeburskiego dostały się miasta Drezdenko i Santok, zagarnięte niegdyś przez margrabiego Waldemara, znowu pod panowanie polskie, a ich ówczesny właściciel Dobrogost złożył dobrowolnie w Krakowie hołd Kazimierzowi. Patrz dokument oddrukowany w Dominika Szulca dziełku: „O Pomorzu Zaodrzańskiem“ str. 68 (z Dogiela: Limites Regni Poloniae p. 1.) W rzeczonym dokumencie nazywa się Dobrogost Comes de Driesen“.

*) Jagiełło wstępując na tron polski przyrzekł wrócić Polsce wszystkie zabrane jej przez Zakon ziemie. Długosz X. 424. (Długosza cytuję zawsze w wydaniu Przeździeckiego, w przekładzie Mecherzyńskiego).

Z PAMIĘTNIKÓW

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

...Na statku parowym tureckim odbywającym drugą swoją podróż po Eufracie, oprócz dwóch czy trzech effendich udających się do Alepu, nie mieliśmy żadnego innego towarzystwa, z tem większą więc ciekawością przyglądaliśmy się oryginalnemu podróżnemu, który przy pierwszym kroku na pokład obudził naszą uwagę. Przyjechał do Eufratu na maleńkim osiołku — a na ogromnym dromaderze miał swoje rzeczy podróżne w miech wpakowane i obwiązane krótkim, grubym postronkiem, trzy razy sztukowanym. Miech ten kilkakroć połatany, znalazł się przed naszemi oczami wprzód niż jego właściciel, i nie obiecywał nam niczem tego zajęcia, jakie miał w nas obudzić. O parę set kroków od miejsca, gdzie był statek do palów w Eufracie przywiązany, znajdował się stary irygacyjny kanał, który trzeba było przebyć — usłyszeliśmy spór na drugiej stronie kanału i siedząc pod rozpiętem płótnem na pokładzie, zwróciliśmy głowy w stronę hałasu, który się coraz powiększał. Kilku Arabów pieszo, otoczyło człowieka w czerwonej kurtce, z ogromnym białym turbanem na głowie — siedzącego na małym osiołku, i każdy go ciągnął w swoją stronę.

— Nie pójdę po kładce — zapłaciłem za osła, żebym pieszo nie chodził.

— Ale tam osieł nie przejdzie z człowiekiem na grzbiecie...

— A mnie co do tego... dałem dziesięć szylingów za ośm godzin drogi... i jednego kroku nie zrobię pieszo.

— Osieł w glinie uwięźnie — i ty się zamoczysz.

— To do ciebie nie należy... to obchodzi osła i mnie.

Odpowiedzi kategoryczne, dawane Arabom przez giaura w czerwonej kurtce, nie przekonały ich wcale i gwałtem go zesadzili z osła, miał jednak widać giaur jakiś inny argument pod ręką — bo Arabi odskoczyli jak zlani okropem puszczając uzdę osła.

— Wsadźcie, kiedyście mnie ściągnęli! jakiem prawem mnie ściągnęliście? — Nie mam czasu do tracenia na próżno — wsadźcie mnie natychmiast na siodło... bo...

Wszyscy trzej Arabi przyskoczyli do czerwonej kurtki — i w mgnieniu oka znalazła się znowu na osiołku.

— To Anglik — odezwał się jeden z moich towarzyszów.

— I Anglik ma słuszność — rzekł drugi... — gdybyś nie słuchał twojego mukra wczoraj, i zrobił jak Anglik, nie przebiłbyś sobie nogi gwoździem na kładce, i nie skąpałbyś się w końcu w wodzie, w drugiem ramieniu kanału, na którem nie ma kładki.

— Zobaczymy czy przejedzie? — Zobaczymy, załóżmy się. — O co!

— O butelkę twojego bordeaux.

— O ostatnią, zgoda!

— Jakto, więc dziś piętnasty dzień czekamy na wyciągnięcie kotwicy?

— Piętnasty!!

Smutnie to jest być skazanym na tysiąc kilometrów drogi bez kieliszka wina,... ale cieszę się, że raz przecie wyleczysz się z choroby wierzenia w regularność administracyi tureckich.

— Twoja wina; ja chciałem wziąć cały mój zapas, pięćdziesiąt butelek...

— Tak, tylko że trzeba było czekać dwie godziny na muła, kiedy minuty nie było do stracenia. Dyrekcya nawigacyi nie ręczyła, czy zdążymy przed odejściem statku.

— Cha! cha! cha! przegrałeś.. mam butelkę

oję ostatnią! Patrz, Anglik stoi po kolana wodzie i błocie a osioł leży..."

— Brawo! brawo wyspiarzu!... Widzisz, z miejsca nie ruszywszy się krokiem, dźwiga ilę na uździe... brawo! osioł stanął na nogi — , dwa, trzy... hop... Anglik na nim... a co? przejedzie? widzisz go na drugiej stronie?

Anglik, któremu gdy siedział na małym ołku, na samarze arabskim, nogi prawie wlo- się po ziemi, podnosił je coraz wyżej, w miarę, osieł głębiej w wodę wchodził i przy samym zegu kanału miał pięty na uszach bydlęcia; gle osioł pod ciężarem uwiązł i padł w ka- ę — Anglik według praw fizyki — do- ńczył przerwaną drogę i napisawszy w powie- u nogami wielkie Y, rozciągnął się jak długi ale na suchem miejscu. — Nadbiegli mukry, z wielkim trudem wyciągali osła uwiązłego glinie; Anglik tymczasem zebrał kapelusz i wiesisty swój biały turban, i stanął wziąwszy obiema rękami pod boki. Do statku nie było ięcej jak trzysta kroków — i tych nie darował, czekał kilka minut zanim osła postawiono na gi i obtarto go z gliny, dosiadł go z zimną wią i tryumfalnie dojechał aż pod samą kładkę rowca.

— Panie Drogmanie, — gdzie moje ba- że?

— Oto są przy kotle.

— Dlaczego pan mnie wyprzedziłeś? zo- wiając mnie na pastwę tym beduinom? Mogłeś ł pan sobie zostać w Bagdadzie, posyłając ój język, i tu wolno było panu pospieszyć zedemną na statek, ale język trzeba było zo- wić ze mną, bo ja ten język pański wynają m, a nie pańskie towarzystwo, któremu jednak najmniej nie odmawiam wdzięku i przyjemności.

Drogman, który nam wyglądał na Indyanina, ociaż był ubrany à la franca, zdjął słomiany pelusz owinięty wielką jedwabną zieloną chustą ic nie odpowiadając stał z uszanowaniem.

— O której wyjechaliśmy z Bagdadu?

— O dziesiątej wieczorem.

— A teraz która?

— Ósma...

— Więc w drodze byliśmy godzin dziesięć. Wynająłem pański język na całą drogę — całą drogę, rozumiesz pan, za czterdzieści ylingów — to czyni po cztery szylingi za go- inę — a że pan pojechałeś sobie naprzód i pomniałeś mi zostawić wynajęty mi język, bez órego musiałem szamotać się z beduinami i ozić im kluczem niby rewolwerem przez minut esnaście, i trzydzieści dziewięć sekund — płacę ęc tylko panu za godzin dziewięć, czterdzieści zy minuty i 21 sekund — oto masz pan funta igielskiego — Napoleona — trzy franki — 50 ntimów... i par 15 licząc je za 8 centimów i 9 tysięcznych centima — pan według kursu bag- dzkiego, który mi pan wczoraj podałeś; — cz pan sprawdzić rachunek, mogłem się pomylić cząc na pamięć.

W czasie, gdy nowo nam przybyły towa ysz podróży rozprawiał się z swoim drogma- m, siedząc na uboczu ciekawie przyglądaliśmy ę jego ekscentrycznej toalecie. W całej odzieży ie mogliśmy dopatrzyć czterech cali kwadrato- ych jednej materyi i jednego koloru. Kurtka erwona składała się z kilkudziesięciu kawałków ıkna, szalów, perkalu i safianu, pozszywanych iałemi, czarnemi i zielonemi nićmi, sznurkami rzemyczkami. Miała dziewięć guzików; u góry łoty guzik marynarki angielskiej, pod nim wielki drewniany z łupiny kokosowego orzecha, nie re- gularnie zaokrąglony, niżej guzik żołnierski pie- choty francuzkiej 37 pułku; pod nim trzy ba- ryłki drewniane w poprzek ujęte rzemykiem — dwa fałszywe beszliki tureckie przebite i kawał grubej skóry służący kiedyś za krążek w pompie. Nogawica jedna spodni składała się z żaglowego płótna, diablej skóry piernikowego koloru, i ciemno- zielonego kortu; druga z kawałka indyjskiego na- miotu, perskiego dywana i marynarskiego płaszcza smołowanego. Kolana wzmocnione były w części starym kamaszem, w części skórą surową wołową, włosem na wierzch, i jakby umyślnie sierć nie była jednolita,—była na czarnem tle biała łata. Spodnie te, widać przeznaczone do podróży konnej, pod- szyte były resztkami cholew butów i futerałem zdawało się strzelby, lub czemś podobnem. Cóż powiedzieć o obuwiu! Znacie czytelnicy historyę trzewików Kazema? Skąpiec ten przygwożdża- jący resztki uciekających podeszew do stokroć połatanego wierzchu, z zachwyceniem przyglą- dałby się obuwiu, które miał Anglik na nogach. Czego nie mogły utrzymać w kupie gwoździe, struny fortepianowe, sznurki i rzemyczki, z góry krępowały kawałki drutu telegraficznego, które skręcone z tyłu obcasa doskonale zastępowały ostrogi.

Kapelusz był częścią ubioru najmniej po- łataną i przez to samo szczególniejsze sprawiał wrażenie, — był prawdziwym wyrobem z Pana- ma, z gatunku, który się na miejscu płaci od 200 do 300 franków. Był zupełnie cały, właści- ciel jego jednak widać dla zapobieżenia przyszłej ruinie, podszył jego skrzydła z pod spodu tuzi nem rozmaitych rękawiczek i nakrył wierzch *metalicznym* krążkiem wyciętym z jakiegoś pudełka konserw; — krążek wyczyszczony starannie, błyszczał, i jak gwiazda rozstrzeliwał na wszy- stkie strony promienie żywe słońca majowego Mezopotamii.

Odzież naszego nowo nam przybyłego to- warzysza podróży tak nas zajęła, każdy jej szczegół tak porywał uwagę, że żaden z nas nie miał czasu pomyślić nawet jak wygląda osoba tak ubrana — i zanim zupełny odbyliśmy prze- gląd wszystkich charakterystycznych szczegółów toalety, Anglik odwrócił się i skrył się nam za kocioł maszyny, gdzie drogman złożył jego miech z bagażami. Nowa okoliczność tymcza- sem nas mocno zaciekawiła — spojrzeliśmy po sobie, jakby się pytając wzajemnie: kto jest ten nieznajomy? Konny posłaniec, w mundurze an- gielskiego konsulatu, kłusem dojechawszy pod sam statek, zesiadł z konia i zapytał się stoją- cego przy wschodkach kapitana: czy już przy- był havadżia... ingliz... *)

— Bilmem... nie wiem, przed kwandransem widziałem tu wchodzącego franka w czerwonym... w czerwonej, w czerwonych — (wyraźnie kapi- tan nie umiał znaleźć nazwy kurtce, którą już znamy) — jeżeli to jest Anglik o którego się pytasz — wejdź na pokład, — tam być musi. — Kawas konsulatu przeszedł pomiędzy nami, i zdjąwszy kaszkiet z uszanowaniem, rzekł: *télégram.*

Po chwili usłyszeliśmy Anglika: „Londyn 24 kwietnia... Bagdad 5 Maja... Jedenaście dni!... żeby mi to zdarzyło się w Indyach — to bym powiedział sobie, że telegraf jest prze- cież komuśkolwiek użyteczny — służy za hu- śtawkę dla małp — ale tu.. gdzie małp nie ma.. telegraf o żółwiej szybkości... do czego?..

Proszę bardzo podziękować konsulowi, i wziąć moją odpowiedź. Kawas skłonił się i od- szedł na koniec pokładu.

Telegram z Londynu za pośrednictwem konsulatu... kto jest ta dziwna osoba... którą wyznamy otwarcie, wzięliśmy za jakiegoś wa- ryata? telegram zbił nas z toru.. i nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu, słysząc zapytanie Anglika, na co są linie telegraficzne w Turcyi gdzie małp nie ma?

Jeden z nas budował kiedyś telegrafy, — a że je budował dobrze, nie mógł strawić żartu Anglika, kiedy więc ten wyszedł z za kotła i zbliżył się do komina, zaczepił go dosyć nie- grzecznie... „Przepraszam pana, że ośmielę się zrobić uwagę na pańskie słowa tak głośno wy- rzeczone, że je musiałem usłyszeć... że bardzo być może, że pan sam obciąłeś skrzydła telegra- fowi, aby niemi dodać szybkości osiołkowi, na którym przyjechałeś — drut, który służy za ostrogi przy pańskich trzewikach, jest z linii tureckiego telegrafu...

Anglik spojrzał na nogi... i rzekł uśmiech- nąwszy się:—Jes!... pan masz słuszność, kupiłem ten drut na pustyni za pięć par od Araba, gdzie nocowałem.

— I gdzie zapewne namiot podparty jest słupem telegraficznym...

— Prawda... ale czemu nie poradzicie sobie z Arabami, jak poradzono sobie w Indyi z mał- pami.. i małpy huśtają się wesołe, i telegramy są prawdziwie elektryczne... robią na sekundę drogę według obrachunku... dłuższą niż promień słońca.

Po tem zdefiniowaniu szybkości iskry elek- trycznej, Anglik zakasał rękaw czerwonej swo- jej kurtki, zanużył ją w położony komin, i wy- ciągnął ją z tamtąd pełną sadzy. Na wierzchu kotła znajdowała się mała zaklęsłość, nalał w nią nieco wody, wsypał sadzę i rozmieszał; zrozu- mieliśmy, że to jest tusz chiński naszego towa- rzysza podróży. Z pod kurtki, dobył portfeuil zrobiony z dwóch deseczek od pudełka na cygara, przewiązanych łykiem — wyjął z niego papier w kilkoro złożony, widocznie paszport, sądząc po mnóstwie pieczęci, zawinięty w kawałek *Timesa,* zdjął to zawinięcie, i znalazłszy kawałek nie zadrukowanego miejsca, oddarł je i zabrał się do pisania cienkim patyczkiem, który miał w ka- mizelce. — Siedział twarzą do nas obrócony — i mogliśmy doskonale mu się przypatrzeć. Był to człowiek wysokiego wzrostu, średniej tuszy, cery zdrowej, czoło wysokie miał rozdzielone na dwa pasy, górny arystokratycznie biały, dolny ogorzały jak twarz beduina. Twarz gęsto pokrytą zarostem rudym ożywiała para oczu niebieskich, wyrazu łagodnego, w których odbijała się spo- kojność, pochodząca z pewności samego siebie. W twarz tę prawdziwie męzką zbronzowaną skwarami wschodu, wpatrując się, zapomnieliśmy o ubiorze, o improwizowanym atramencie i ka- łamarzu i o całej ekscentryczności człowieka.

(C. d. n.)

*) Po arabsku hawadżia znaczy pan.

ŻYWNOŚĆ ŻOŁNIERSKA.

Nie sama broń dobra, dobry żołnierz i dzielni dowódzcy rozstrzygają losy wojen. Żoł- nierz żywiony pokarmem, nie wystarczającym do odnowienia sił straconych w ciągłych trudach, choćby nawet był najlepszym, nie zdoła się oprzeć tym trudom. Żeby zapewnić sobie zwycięztwo,

nie dość mieć broń morderczą, nie dość mieć wielkie bataliony; trzeba dobrze wyżywić wojska, by miały w każdej chwili potrzebną do walki energię.

A w niektórych wypadkach nawet broń i ilość żołnierzy grają bardzo małą rolę. Weźmy naprzykład pod uwagę dwie małe wprawdzie, lecz dość ważne kampanie angielskie, wykonane w niedawnym czasie; jedna do Abissynii, druga na Złote Wybrzeże. W pierwszej trzeba było prowadzić wojsko przez dziką, pustynną i nierówną krainę, ciągnącą się około czterechset mil angielskich, i przez ten czas trzeba było w tym gorącym klimacie wyżywić i napoić tysiące żołnierzy; słusznie też tę kampanię nazwano, kampanią intendentów i inżynierów. Wyprawa zaś na Złote Wybrzeże, może być nazwana wojną lekarską, gdyż tu przedewszystkiem chodziło o sprowadzenie do minimum złych wpływów klimatu, najgorszego, jaki sobie można wyobrazić. Trzeba było udawać się do najstaranniejszych i najściślej wypełnianych sanitarnych urządzeń i przepisów.

U nas w Europie, rzeczy mają się wprawdzie inaczej, i siła militarna gra pierwszą rolę, lecz w niektórych wypadkach żywność może być rozstrzygającą. Przypomnijmy tylko sobie wojnę francusko-pruską; gdyby nie kiszka grochowa, to niewiadomo, czy Prusacy mogliby przez długie, zimowe miesiące oblegać stolicę upokorzonej Francyi.

W wojnach nowych czasów dla zaprowiantowania wojska zaczęto używać konserwów i najrozmaitszych przypraw; potworzyły się w różnych krajach różne metody, które w ogólnym zarysie zdążają do tego, żeby dostarczyć żywności nie łatwo się psującej i zajmującej przy równej pożywności najmniejszą przestrzeń. Nie trudnem jest zestawić stopnie pożywności pokarmów używanych przez armie rozmaite. Naturalną jest rzeczą, że żołnierz w czasie wojny więcej zużywa siły muskularnej niż zwykle, a według poszukiwań fizyologicznych trzeba do podtrzymania działalności mięśniowej jak najwięcej spożywać materyi organicznych zawierających *azot*, i to tem więcej, im więcej ta działalność jest podniecona. Jeśliby człowiek pracował fizycznie, nie spożywając pokarmów zawierających azotu, to mięśnie jego dla odżywienia swego musiałyby brać ten pierwiastek z innych części ciała, któreby się przez to szybko wyniszczyły.

Głównie używanemi u nas pokarmami są mięso i chleb, które zawierają części azotowe. Otóż, o ile się zdaje, czy azot jest brany z jednego lub też drugiego pokarmu, to na jedno wychodzi; przynajmniej doświadczenie wykazało, że żołnierze angielscy i niemieccy trzymają się również dobrze, chociaż pierwsi otrzymują dzienną porcyę z trzech ćwierci funta mięsa, a drudzy żywią się głównie żytnim chlebem. Skład chemiczny, a głównie zawartość azotu jeszcze bardziej przekonywają, że to prawie na jedno wychodzi. Chude mięso zawiera 12,8 procentów materyi azotowych, a bochenki analizowane chleba zawierają 15,8 procentów tych samych materyi. Nadto ilość wody w mięsie zawartej jest większą i na to trzeba zwrócić szczególną uwagę; mięso ma wody około 57 procentów, a chleb tylko 40. Nadto, ponieważ chleb zawiera skrobię i tłuszcz potrzebny do wywiązywania cieplika w organizmie, więc można rzec śmiało, iż jest on wybornym prowiantem i że wojska karmione chlebem mają się równie dobrze jak wojska, których głównym pokarmem jest mięso.

Zresztą, zupełnie ogólnie tego twierdzić nie można, gdyż klimat gra wielką rolę w potrzebach człowieka. Gdy mieszkańcy północy potrzebują i używają wielkich ilości mięsa, to Turek obchodzi się bez niego nieraz całemi tygodniami i nawet miesiącami. Pod tym względem wytrzymałość żołnierza tureckiego jest godną podziwu. Na obiad, śniadanie i kolacyę wystarcza mu mąka kukurudziana. Rossyanie używają znacznie lepszych pokarmów, lecz i te dla żołnierza francuskiego lub angielskiego wydałyby się nadto pierwotnymi. Żołnierz rossyjski otrzymuje 2 funty czarnego chleba, i ćwierć funta mięsa świeżego lub też słoniny, wystarczającą ilość soli, cybuli lub czosnku i herbatę. Pod względem pożywności pokarmów rzec można, iż żołnierz rossyjski i turecki są jednakowo zasilani. W obu prowiantach jest dosyć materyi azotowych do podtrzymania siły mięśniowej i dość cukru i skrobi, materyi nieazotowych, do podtrzymania ciepła naturalnego i narządów oddechowych.

Biorąc mleko, jako pokarm wzorowy, który rzec można, składa się z materyi azotowych, tłuszczu i cukru, znajdziemy, iż stosunek materyi azotowych do materyi wywiązujących ciepło jest jak jeden do dwóch. Po mleku pierwsze miejsce zajmuje bób i groch, w których stosunek jest jak jeden do trzech. Owies zawiera te części w stosunku jednego do pięciu, a żyto i kukurudza jednego do siedmiu lub ośmiu. Ponieważ Rossyanie i Turcy żywią się głównie żytem i kukurudzą więc widzimy, że otrzymują pokarmy równej pożywności W każdym jednak razie kawałek mięsa dodawany rossyjskim żołnierzom ma swoje wielkie znaczenie i daje im, przywykłym do tego pokarmu, znaczny posiłek.

W szeregu, któryśmy przytoczyli, najwyższe miejsce po mleku zajmuje groch i bób, i właśnie ten skład był przyczyną zaprowadzenia w wojsku niemieckim kiszki grochowej (Erbswurst). Jak wiadomo, kiszka taka robi się z mąki grochowej i ze słoniny, zmięszanych w odpowiednim stosunku, wciśniętych do kiszki i ugotowanych. Żołnierz niemiecki otrzymuje w zwykłym stanie na dzień 2 funty żytniego chleba i obiad składający się z zupy, w której niekiedy, od czasu do czasu pływa kawałek mięsa. To jego pokarm całodzienny, a mały żołd, który pobiera, starczy mu zaledwie na kupienie filiżanki kawy i solonych ogórków do chleba.

Podczas ostatniej wojny niemieckiej nie można było i tych najprostszych pokarmów dostarczyć żołnierzowi. Do zupy i chleba trzeba byłoby urządzać kuchnie i piece polowe, a tymczasem o tem nie można było i myśleć. Wtedy właśnie znakomitą usługę oddały owe sławne kiszki grochowe, które bardzo są wygodne do transportu, a przytem są bardzo pożywne i przy największych trudach wystarczające. Cały sztab rzeźników i piekarzy mógł być usunięty, a żołnierz z zamiany był zupełnie zadowolony. Ten szczęśliwie skombinowany pokarm podtrzymywał doskonale siły wojska i przytem z powodu wielkiej ilości tłuszczu dawał ciepło, które tak było potrzebne wśród trudnych zimowych miesięcy.

Kiszka grochowa może być jedzoną na zimno lub też rozgotowaną w gorącej wodzie; tworzy się wtedy rodzaj wcale dobrej zupy. Jednak nie smakuje taka zupa podniebieniu francuskiemu lub angielskiemu, gdyż trąci łojem, czemu się nie trzeba dziwić, gdyż nie zawsze można dostać w tak olbrzymiej ilości słoniny i trzeba ją zastępywać innymi tłuszczami. W każdym razie ta myśl połączenia grochu, pokarmu roślinnego, zawierającego największą ilość materyj azotowych, z tłuszczem, jest wyśmienitą i okazała się bardzo praktyczną.

Kiszka grochowa jest jeszcze i pod innym względem interesującą. Skoro zaczęto ją wyrabiać w kolosalnej ilości, okazało się, iż nie można będzie dostać wystarczającej ilości kiszek naturalnych, do których wtłaczano mieszaninę grochu i słoniny.

Próbowano więc najrozmaitszych sposobów sztucznego fabrykowania takich kiszek. Nadaremnie używano roślinnego pergaminu i tym podobnych substytutów; nie znajdywano przez długi czas materji, któraby wodę nie przepuszczała, i mogła wytrzymać gotowanie we wrzącej wodzie i była elastyczną. Nareszcie jakiemuś chemikowi (nie pamiętamy nazwiska) udało się rozwiązać tę trudną kwestyę. Zaproponował on używanie do wyrabiania powłoki na kiszce gelatyny zmięszanej z dwuchromianem potasu. Mięszanina ta oddawna już jest znaną fotografom, a głównie fotolitografom, którzy używają jej jako głównej podstawy swojego kunsztu.

Wiadomo, że jeżeli na płytę szklanną nalejemy roztworu gelatyny, zaprawionego dwuchromianem potasowym i wystawimy na działanie światła, to gelatyna staje się nierozpuszczalną i opiera się działaniu wody zimnej również jak i gorącej. Miejsca zaś, na które światło nie działało, rozpuszczają się łatwo i to właśnie stanowi zasadę fotodruków, bo miejsca na płycie, na które światło działało pozostają wypukłemi

Otóż na tej własności gelatyny zaprawionej dwuchromianem potasu, oparto nowy sposób fabrykowania kiszek sztucznych. Mięszaninę z grochu i słoniny, stosownie przyrządzoną, wciskają w pewną formę i zanurzają ją do roztworu w wyżej opisany sposób spreparowanej gelatyny. Kiszka taka po paru godzinach wystawienia na światło, jest otoczona błonką cienką, lecz mocną, giętką i wytrzymującą działanie ciepła wrzącej wody, i jest zupełnie gotową do ekspedycyi i użytku.

Z pomiędzy wszystkich armii europejskich najobfitszy wikt otrzymuje armia serbska, przedstawiająca pod tym względem tak wybitny kontrast z armią turecką. W Serbii podczas wojny zeszłorocznej żołnierz otrzymywał na dzień oko (około $2^1/_2$ funtów) chleba, pół oka mięsa świeżego, a w dodatku jeszcze porcye odpowiednie ryżu, mąki i papryki. Według opowiadań korespondentów, przez dzień cały, od rana do wieczora, widać było dymiące się ogniska, przy których gotowano zupę paprykową, a na wieczór miejsca kotłów od zupy zastępowały naczynia do kawy. A jednak, rzecz uwagi godna, mimo takiej ilości pokarmów, żołnierza serbskiego nie można równać pod względem wytrzymałości do źle karmionego i jak powiadają korespondenci wiecznie głodnego żołnierza tureckiego.

W Anglji porcyę żołnierską stanowi $^3/_4$ funta mięsa i funt chleba, do czego w czasie wojny dodaje się ćwierć funta sera i porcyę kakao lub kawy.

Podczas krymskiej wojny miano oprócz tego zawsze w pogotowiu gorącą herbatę, naturalnie o ile na to okoliczności pozwalały, a podczas ostatnich wypraw afrykańskich zawsze dawano nad rankiem, przed wyruszeniem w drogę, filiżankę kawy gorącej. W ogóle w Anglii mało

bardzo dają wojsku napojów spirytualnych, a natomiast inne pobudzające, lecz w słabszym stopniu środki, jak np. kawa lub herbata. Wódkę Anglicy dostają tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, przy nadzwyczaj męczących marszach lub przy pracy w tranwach lub też na froncie. Inaczej rzecz się ma z żołnierzem rossyjskim, który bez wódki kroku by nie postawił. A mają oni dobry przykład z góry; przypomnijmy tylko sobie owego generała z pod Plewny, którego znaleziono podczas bitwy w stanie bezprzytomnym.

Z NIEZNANYCH POEZYI

M. ROMANOWSKIEGO.

Sonety.

I.

Dziwnie my się spotkali na żywota drodze,
Tyś już miała świat marzeń i byłaś wesoła;
Jam się zbliżył, twej krasie uchyliłem czoła,
Potem poznał, pokochał i rozbolał srodze.

Skarb twej duszy w mą duszę jak w wnętrzu kościoła
Złożyłaś ufna we mnie, — ja spokojny chodzę,
I tobie błogosławię, — i z losem się godzę —
A jak? spytaj mych nocy i mego anioła.

Jasno mi a znam piekło, — pierś go się nie zlękła,
Toż i ty się nie lękaj jeśli czasem zbladnę —
Chwyciłem boleść w dłonie – boleść jak wosk zmiękła,

A dziś mi harfą życia, którą jak chcę władnę...
Siostro! — słyszałaś zgrzyt ten?. — Strôna żalu pękła...
Twe serce czuję w łonie... kocham !... toż nie padnę.

II.

Widziałem cię w kościele; — dzwonek mszę ogłosił...
Wpatrzyłem się, — klęczałaś kornie pochylona —
I tęskna jako lilia... Modlitwą natchniona
Nie widziałaś, jak anioł nad tobą się wznosił.

Lecz jam go czuł po ciszy, co weszła do łona,
Po promieniach, którymi czoło moje zrosił;...
Szedłem za tobą w niebo;... o nic'em nie prosił, —
Tak była tobą samą dusza przepełniona.

Chcesz? twą całą modlitwę powtórzyć jam zdolny..
Dziękowałaś za życie, jako ów u zdroju
Za garść ziemi dziękuje Panu kwiatek polny...

Potem błagałaś Boga o wielki dzień boju...
Potem — aby nagrodził twoim trud mozolny;...
Modląc o szczęście... dla mnie modliłaś spokoju?!

Wspominek mszy 31 Maja 1858.

Lwów.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XVI.

Na ruchomej drabinie.

Tymczasem eksploatacya kopalni Nowej-Aberfoyle przynosiła znakomite korzyści. Rozumie się, że największy udział w dochodach mieli inżynier Starr i Szymon Ford — oni bowiem pierwsi odkryli owe niewyczerpane pokłady węglowe. Henryk wskutek tego stał się jednym z bogatszych młodzieńców w okolicy. Ale nie myślał on wcale o opuszczeniu podziemi i folwarku. Objął w miejsce ojca obowiązki obermana i z wytrwałą gorliwością czuwał nad całą armią górników.

Jakób Ryan dumny był i szczęśliwy, że przyjacielowi jego uśmiechnęła się fortuna. Jemu również dobrze się powodziło. Widywali się z sobą często, to na folwarku, to przy robotach w kopalni. Jakób wcześnie spostrzegł jakiemi uczuciami przejęty jest Henryk dla młodej uratowanej przez siebie dziewczyny i nie mógł się nigdy powstrzymać od śmiechu, kiedy w rozmowie z przyjacielem ten ostatni nie chciał przyznawać się do tlejącej w swem sercu miłości.

Wypada tu nadmienić, że jednem z najgorętszych życzeń Jakóba było, aby mógł towarzyszyć Helenie, gdy ta uda się na pierwszą wycieczkę na zewnątrz kopalni. Chciał być świadkiem jej podziwu, uwielbienia i zachwytu wobec wszystkich nieznanych dla niej a tak zwykłych cudów przyrody. Obiecywał sobie, że Henryk nie zaniedba zaprosić go na towarzysza wycieczki, ale dotychczas nie wspomniał mu o tem ani słowa — co wielce niepokoiło Jakóba.

Pewnego dnia zstępował on na dół jednym z szybów powietrznych, w którym urządzona była drabina ruchoma, przesuwająca się z góry na dół i odwrotnie, tak że wchodzi się po niej i zstępuje bez żadnego utrudzenia. Po dwudziestu obrotach maszyny znajdował się już Jakób o sto pięćdziesiąt stóp pod powierzchnią ziemi, gdy na wązkim przestanku gdzie się chwilowo zatrzymał, spostrzegł Henryka spieszącego za pomocą drugiej drabiny do robót zewnętrznych.

— To ty jesteś? — zapytał swego przyjaciela, na twarz którego padł właśnie w tej chwili promień elektrycznego światła.

— A ja! — odpowiedział Henryk — i rad jestem bardzo, że cię spotykam, bo właśnie chciałem ci coś zaproponować..

— Nic nie słucham — przerwał mu Jakób — dopóki mi nie powiesz, jak się miewa Nelly!

— Nelly ma się dobrze i to tak dobrze, że najdalej za jaki miesiąc albo sześć tygodni mam zamiar...

— Ożenić się z nią?

— Sam nie wiesz, co mówisz, mój kochany.

— To być może; ale wiem co zrobię.

— I cóż takiego?

— Ożenię się z nią, jeżeli ty jej nie zaślubisz! — odparł Jakób, wybuchając śmiechem. — Święty Mungo niechaj mnie ma w swojej opiece! ale podobała mi się śliczna Nelly! Takie dobre i poczciwe stworzenie, urodzone i wychowane w kopalni, to właśnie najodpowiedniejsza żona dla górnika! Podobnież jak ja, i ona jest sierotą i jeżeli tylko ty, Henryku, nie myślisz o niej na seryo, a ona mnie zechce...

Henryk spoglądał na niego z powagą. Pozwalał mu mówić swobodnie i nie odpowiadał wcale.

— Czy słowa moje nie obudzają w tobie zazdrości? — zapytał go Jakób nieco poważniej.

— Żadnej—odpowiedział spokojnie Henryk

— Jeżeli sam nie ożenisz się z Heleną — nie będziesz przecież wymagał, żeby została starą panną?

— Ja niczego nie wymagam.

W tej chwili nowa zmiana drabin dozwalała obu przyjacielom rozstać się i podążyć, tak jak zamierzali, jeden w górę drugi na dół. Pozostali jednak obaj na miejscu.

— Czy sądzisz, Henryku — rzekł Jakób— iż to co mówiłem przed chwilą o Nelly, mówiłem na seryo?

— Ani mi to przez myśl nie przeszło!

— Otóż teraz pomówię z tobą z całą powagą.

— Ty, Jakóbie, miałbyś poważnie mówić!

— Bądź co bądź, mógłbym ci jednak dobrej rady udzielić.

— Udziel jej więc.

— Posłuchaj mnie tylko! Ty, Henryku, kochasz Nelly całą siłą miłości, na jaką ona zasługuje. Ojciec twój i matka twoja kochają ją, jakby była rodzonem ich dzieckiem. Otóż nie wiele pozostaje ci do zrobienia, aby rzeczywiście została ich córką! — Czemu się z nią nie żenisz?

— A wiesz - że ty, co się dzieje w sercu Nelly, że tak stanowczo chcesz niem rozporządzać?

— Nikt tego nie wie, nawet ty sam, Henryku, i dla tego właśnie nie jesteś zazdrośnym, ani o mnie, ani o innych... Ale otóż i drabina opuszcza się na dół i...

— Zaczekaj Jakóbie — rzekł Henryk wstrzymując przyjaciela, który już podniósł jedną nogę, aby postawić ją na ruchomej drabinie.

— Ostrożnie, mój drogi — zawołał śmiejąc się Jakób — o mało nie rozdarłem się na dwie połowy!

— Posłuchaj mnie z uwagą, Jakóbie — bo teraz ja chcę pomówić z tobą na seryo.

— Słucham cię.. aż do następnej zmiany drabin — ani chwili dłużej.

— Nie będę przed tobą ukrywał, że kocham Helenę. Najgorętszem życzeniem mojem jest poślubić ją...

— To bardzo pięknie z twej strony.

— Ale tak jak dzisiaj jest, mam jeszcze pewien skrupuł sumienia zniewalać ją do wyrzeczenia słowa, które ma być nieodwołalnem.

— Czegoż ci więcej potrzeba do licha!

— Czego mi potrzeba, zaraz się dowiesz. Nelly nigdy jeszcze nie wydalała się z kopalni, w której prawdopodobnie przyszła na świat. Po za kopalnią, nie zna ona nic, o niczem nie ma pojęcia. Wszystko musi dopiero poznawać własnemi oczami, być może własnem sercem. Któż wie jakie myśli, jakie uczucia obudzą się w niej wskutek nowych, silnych wrażeń? Dotąd nie ma w niej nic jeszcze ziemskiego, zdaje mi się przeto, że dopóki ona sama, w pełnej świadomości, nie objawi stanowczego w tym względzie zdania, nie godzi się przynaglać ją do pozostania na całe życie w przepaściach ziemi. — Zrozumiałeś mnie, Jakóbie?

— Tak... cokolwiek — a najlepiej to zrozumiałem, że z twojej łaski znowu minęła mnie jedna zmiana drabin.

— Chociażby zmiana ta — odpowiedział Jakób z całą mocą — miała być już ostatnią w naszem życiu, chociażby wątła ta podłoga, runąć miała za chwilę pod naszemi nogami, musisz Jakóbie, wysłuchać mnie do końca!

— Otóż tak to lubię! to mi się nazywa mówić! zawołał wesoło Jakób.—Mówiliśmy więc, że zanim poślubisz Nelly, masz zamiar oddać ją na pensyę w Edymburgu!

— Bynajmniej, Jakóbie. Potrafię sam dokończyć wykształcenia tej, która ma zostać moją żoną.

— I zaręczam ci, że daleko lepiej na tem wyjdziesz.

— Poprzednio jednak pragnę, aby Nelly miała dokładne wyobrażenie o zewnętrznym świe-

cie. Przypuśćmy, że ty, Jakóbie, kochasz się w młodej niewidomej panience, i że za miesiąc będzie ona uleczoną. Czy nie wstrzymałbyś się z zaślubieniem jej aż do owej chwili?

— Oh, niezawodnie, że zaczekałbym! — odpowiedział Jakób.

— Otóż widzisz! Nelly jest jakby niewidomą, i zanim nazwę ją moją żoną, chciałbym aby ona wiedziała, że to mnie i mój zawód wybiera i przekłada nad innych i nad inne warunki życia. Chcę, jednem słowem, aby i oczy jej duszy przejrzały nakoniec.

— Dobrze mówisz, Henryku, bardzo dobrze! — zawołał Jakób — teraz pojmuję cię już. No, a kiedyż nastąpić ma operacya zdjęcia katarakty?

— Za miesiąc. — Oczy Nelly przyzwyczajają się zwolna do naszego sztucznego światła.— Za miesiąc, mam nadzieję, będzie już mogła znieść światło słoneczne i podziwiać bogatą sukienkę ziemi naszej, cudowne arcydzieła przyrody! Przekona się, że świat nie kończy się w ciasnych granicach naszych podziemi!...

Gdy tak uniesiony zapałem Henryk rozpuszczał wodze swej fantazyi, Jakób skoczył tymczasem na przesuwającą się właśnie drabinę.

— Hej! Jakóbie! gdzież się podziałeś? — zawołał Henryk, nie widząc go obok siebie.

— Tu, pod tobą — odpowiedział ze śmiechem wesoły koleżka. — Kiedy ty wznosisz się ku obłokom, ja w przepaść zapadam!

— Do widzenia, Jakóbie! — wołał za nim Henryk i sam wskoczył na idącą w górę drabinę. — A pamiętaj, żebyś nie wspomniał nikomu o tem, cośmy tu rozmawiali!

— Nie powiem nikomu, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?

— Że zabierzesz mnie z sobą na pierwszą wycieczkę z Heleną!

— Przyrzekam ci to!

Wskutek nowego poruszenia przyrządu oscylacyjnego odległość pomiędzy dwoma przyjaciołmi powiększyła się znacznie — Henryk przecież raz jeszcze usłyszał silny głos Jakóba:

— A gdy już Nelly zobaczy słońce i księżyc i gwiazdy, wiesz też, co się jej z tego najlepiej spodoba?

— Naprzykład!

— Ty, mój kochany, ty, i zawsze ty jeden tylko!

Głos przebrzmiał już dawno, ale wesoły śmiech Jakóba długo jeszcze rozlegał się w niższych kondygnacjach szybu...

Henryk nie przerywał rozpoczętego dzieła i każdą wolną chwilę poświęcał kształceniu Heleny. Uczył ją czytać i pisać, w czem młoda dziewczyna znakomite czyniła postępy. Możnaby było o niej powiedzieć, że wszystko czego ją uczono, znanem jej było poprzednio, „z przeczucia.“ Zdolności jej umysłowe zdumiewały wszystkich, ktokolwiek miał sposobność bliżej ją poznać.

Stary oberman i Madge z każdym dniem coraz mocniej kochali przybrane swe dziecko. Odgadli oni niebawem miłość Heryka ku dziewczęciu, i wcale mu tego za złe nie mieli.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że podczas pierwszej bytności inżyniera Starr na folwarku w komorze Dochart, rozmawiając ze swoim gościem o przyszłości Henryka, wyraził się Szymon mniej więcej w tych słowach:

— Henryk miałby się ożenić tam, na górze! A gdzieżby się znalazła dziewczyna, co chciałaby wyrzec się wszystkich przyjemności światowych i zamknąć się w tej ciemnicy!

Otóż, czyż nie była w tem widoczna ręka Opatrzności, zsyłającej mu jedyną istotę, odpowiednią pod każdym względem na małżonkę dla jego syna? Nie byłaż to prawdziwa łaska Niebios?

Stary oberman obiecywał też sobie, że jeżeli małżeństwo to przyjdzie do skutku, taką fetę urządzi całemu Coal-city, iż wesele dwojga ukochanych jego dzieci stanie się epoką w kronikach górniczych Nowej Aberfoyle.

Wypada tu dodać, że jeszcze jedna osoba niemniej gorąco życzyła sobie przyspieszenia małżeństwa Nelly z Henrykiem. Osobą tą był zacny inżynier Starr. Bezwątpienia, pragnął on przedewszystkiem szczęścia dwojga młodych ludzi — ale powodowały nim w tym względzie i inne, również ważne pobudki, to jest bezpieczeństwo i spokój całej kopalni.

Wspomnieliśmy wyżej, że James Starr nie czuł się jeszcze zupełnie spokojnym ze strony niewidzialnego wroga, jakkolwiek w obecnej chwili nic podejrzanego obaw tych nie zdawało się uzasadniać. Zdaniem jego, dawniejsze zamachy mogły się jeszcze powtórzyć. Tajemnica nowej kopalni znaną była samej tylko Nelly. Otóż, jeżeli w przyszłości groziły górnikom Nowej Aberfoyle jakie niebezpieczeństwa, nie podobna było zapobiedz im, nie znając przynajmniej ich źródła?

— Nelly nie chce nic powiedzieć — powtarzał częstokroć — ale tajemnicy, którą ukrywa dotąd przed wszystkiemi, nie utai długo przed swoim mężem! Inaczej niebezpieczeństwo groziłoby tak samo Henrykowi jak i innym górnikom. Otóż jeżeli może być na tym świecie szczęśliwe małżeństwo, to musi niem być taki związek, który uszczęśliwiając dwoje małżonków, zapewnia zarazem spokój i bezpieczeństwo licznych ich przyjaciół i współtowarzyszów!

W ten sposób, i trzeba przyznać, że nie bez pewnej słuszności, rozumował inżynier, i uwagi swoje zakomunikował Szymonowi, który w zupełności je podzielał. Zdawało się więc, że nic już nie powinno stawać na przeszkodzie małżeństwu Nelly z Henrykiem.

Bo i jakież mogłyby być przeszkody? Henryk i Nelly kochali się wzajemnie. Starzy rodzice nie marzyli nawet o innej towarzyszce dla swego syna. Koledzy Henryka zazdrościli mu jego szczęścia, ale przyznawali zarazem, że zasługiwał na nie. Młoda dziewczyna wreszcie niezawisłą było od nikogo i sama rozporządzać mogła swoją ręką.

Skoro zatem nikt nie mógł stawiać przeszkód zamierzonemu związkowi, czemuż, gdy tarcze elektryczne gasły jedna za drugą, w chwilach spoczynku po pracy, gdy górnicy znajdowali się już w mieszkaniach, a noc rozpościerała czarne swe skrzydła po nad podziemnem miastem, czemuż z najtajniejszych kryjówek Nowej Aberfoyle, wysuwała się jakaś tajemnicza istota, i krążąc po kopalni, przebywała z łatwością najciaśniejsze chodniki, niedostępne dla najzręczniejszych górników, nawet przy blasku światła? Dlaczego zagadkowa ta istota zjawiała się nad jeziorem Malcolm i czołgała się nad jego brzegami? Dlaczego tak uparcie kierowała swe kroki w stronę mieszkania Szymona Ford, a zawsze z tak przezorną ostrożnością, że aż dotychczas najczujniejsza straż podejść jej nie zdołała? Dlaczegoż cień, czy duch ten, którego wzrok przeszywał najgłębsze ciemności, zbliżał się pod okna folwarku, i podsłuchując przez okienice, chwytał urywki prowadzonej wewnątrz rozmowy?...

A gdy pewne słowa dochodziły do uszu jego, dlaczegoż konwulsyjnie zaciśniętą dłonią groził spokojnemu domostwu? Dlaczegoż wreszcie z ust jego, drżących z gniewu, wydobywały się niezrozumiałe te słowa:

— Ona — z nim!... Nigdy!... (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli, przez Mateusza Gralewskiego. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1877 r.*)

(*Wspomnienia Kaukazu, przez H. Jaworskiego. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego. 1877 r.*)

Od czasu politycznego upadku Polski, Kaukaz obok Syberyi stał się miejscem zsyłki, a często mogiłą najlepszych synów naszej ojczyzny. Po każdej próbie zerwania krępujących nas więzów, rząd moskiewski wysyłał tysiące polskiej młodzieży na Kaukaz, żeby ich dłońmi okuć niewolniczy łańcuch dla ludów, co z rządem tym walczyły o swoję wolność. Walka ta, w której zesłani Polacy brali czynny, lubo poniewolny udział, trwała przeszło lat ośmdziesiąt. Dała przeto sposobność ludziom wykształconym, a takimi przeważnie byli zesłani, dokładnie się obznajomić z krajem i jego ludnością, której historya, zwyczaje i obyczaje nastręczały bogaty materyał do bardzo zajmujących badań. To też ci z zesłanych, którym się udało powrócić do kraju, opisywali Kaukaz bądź w formie powieści, gawęd, kartek z podróży, bądź też w formie dzieł treści naukowej. W ten sposób literatura polska wzbogaciła się całym szeregiem prac o Kaukazie treści historycznej, geograficznej i etnograficznej. Pod względem naukowym zapewne te prace nie mają pomnikowej wartości, zawsze jednak będą służyły jako źródła, z których przyszli badacze obficie będą czerpali. Między temi dziełami niektóre wyróżniają się wielkiem bogactwem treści, jasnym na miejscowe stosunki poglądem i objektywnością o tyle, ile jej w ogóle żądać można od ludzi do pewnego stopnia zaangażowanych w sprawie, o której piszą.

Do takich właśnie prac należy świeżo wydana przez Księgarnię Polską książka p. Mateusza Gralewskiego pod skromnym tytułem: *Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli.* Książka ta — mówiąc nawiasem, bardzo poważnych rozmiarów, składa się z jedenastu rozdziałów, z których każdy stanowi pewną całość i jako taki może być czytany osobno. Zespolone zaś razem, rozdziały te przedstawiają dokładny obraz całego Kaukazu, ujęty w ramy tak obszerne, że w nich się mieszczą nietylko szkice historyczne, zwyczajowe i obyczajowe wszystkich ludów tego obszernego kraju, ale nadto znajdujemy tam kilka portretów wybitniejszych postaci, należących do tego lub owego obozu. Przy objektywności sądów, jaką cechuje praca p. G., łatwo jednak dostrzedz, że sympatye autora ciążą ku góralom, co zresztą jest rzeczą zupełnie naturalną w człowieku, który wyznawał i ucierpiał za te same idee, za które tak długo i zawzięcie walczyły kaukazkie plemiona. Zresztą, niemal we wszystkich dziełach o Kaukazie, nawet w moskiewskich (Puszkina, Lermontowa, Marlińskiego i innych), spotykamy się z opinjami bardzo sympatycznemi dla bohaterskich mieszkańców Kaukazu i doprawdy nie moglibyśmy mieć za złe autorowi dzieła naukowego, gdyby się on nawet mniej krępował zasadą objektywności, niż to czyni p. Gralewski. Bo zaiste, czyż nie dziwnem byłoby wymagać, żeby autor, mówiąc o narodzie, obdarzonym charakterem tak wzniosłym i mężnym, opromienionym najczystszą ideą wolności, zachowywał się tak spokojnie i zimno, jak np. gdy bada ślimaka?

Wielką dokładnością opracowania odznacza się w książce p. G. rozdział o miurydyzmie, owej strasznej i tajemniczej sekcie islamizmu, o której dotychczas mieliśmy bardzo słabe pojęcie, a która jednak swemi zasadami była tak potężną, że zdołała wywołać i utrzymać blisko wieku ognistą walkę górali z najezdnikami o niepodległość. Autor tłumaczy te zasady nadzwyczaj prosto; dowodzi mianowicie, że są one wynikiem konsekwentnego zastosowania prze-

pisów Koranu, przepisów, pojętych w sposób bardziej abstrakcyjny, niż to zwykli robić mołłowie, ludzie przeważnie nie odznaczający się żadnem teologicznem wykształceniem, a więc tłumaczący alegorye Koranu bez wszelkich przenośni. Tłumaczenie to miurydyzmu odznacza się taką prostotą i znajduje tak dobitne potwierdzenie w przejściach, których doznawał chrześcjanizm, rozszczepiając się coraz to na nowe sekty właśnie z powodu, że różni koryfeusze teolologji inaczej sobie tłumaczyli to lub owo wyrażenie się, ten lub ów czyn Chrystusa, że czytelnik najzupełniej się zgadza z wywodami autora i nie żąda już żadnych faktycznych dowodów. Ale dla autora widocznie tego nie dosyć; on jak gdyby sam jeszcze sobie nie wierzył; szuka więc faktów potwierdzających jego zapatrywanie się, w tym celu skreśla dziejowy okres panowania imamów i w końcu na niewzruszonych faktycznych podstawach ugruntowywa swoję teoryą. Szkoda tylko, że przewodnia nić, co w danym razie rządziła autorem, często dla czytelnika prawie znika, zaciera się mnóstwem szczegółów i drobnych fakcików, które się piętrzą jedne na drugich i zrazu sprawiają wrażenie bezładnego rumowiska, a dopiero potem, po mozolnej pracy samego czytelnika, uszykowują się w poważną dowodową całość.

Owa tedy pochopność autora do zbierania najdrobniejszych faktów jest, naszem zdaniem, ujemną stroną rozdziału o miurydyzmie. Ale na tym nie koniec; mamy jeszcze jeden zarzut, mianowicie, określając początek miurydyzmu, autor jest tak niedokładny, że ostatecznie czytelnik albo się wcale nie dowie kiedy i gdzie ta sekta powstała, albo też w najlepszym razie będzie przekonany, że ona wyrosła na gruncie kaukazkim. Zdaje się nawet, iż autor mniema, że pierwszymi propagatorami tej sekty na Kaukazie byli Hadży-Ismaił i Chas-Mahomet. Jeżeli tak, to jest to naturalnie osobiste zdanie autora, tak dobre jak i wszelkie inne, bo koniec końców, kwestya powstania i koleje miurydyzmu nie są jeszcze zupełnie wyjaśnione. Ale, naszem zdaniem, dla zupełnej dokładności, autorowi należało przytoczyć i inne hipotezy, istniejące w tej mierze, tem bardziej, że niektóre z nich mają za sobą wiele prawdopodobieństwa. Twierdzą, naprzykład, że miurydyzm, lubo pod inną nazwą, istniał jeszcze od czasów Zoroastra, że przechodził najrozmaitsze koleje i znanym był na Kaukazie oddawna. W *Kartuelis Cchowreba* (gruzińskiej kronice) znajdujemy, np. wzmiankę o miurydyzmie, jako o religijnej sekcie, znanej na Kaukazie jeszcze w XVI. stuleciu.

Skończywszy o miurydyzmie, autor żywemi barwami skreśla ponury obraz wiekowej walki górali o niepodległość, a znużony całym szeregiem morderczych scen, gdzie dzikość najezdników walczy o lepsze z szaloną zawziętością górali, porzuca góry i opisuje zwyczaje i obyczaje spokojnych mieszkańców południowej doliny Kaukazu. Tu już nie przerażają nas straszne sceny walk i pożarów, jednak na każdym kroku widzimy, że błogosławiona ta ziemia jeszcze niedawno była zbroczoną krwią własnych dzieci; szczęk broni już ustał; znikły bogate auły, miasta, starożytne budynki; został step pusty, ruiny i zgliszcza, a w nich wylęgają się węże, skorpiony i przebywa widmo śmierci... Smutne obrazy!

O ile możemy sądzić na postawie własnych spostrzeżeń, autor z fotograficzną dokładnością opisuje miejscowe zwyczaje i obyczaje. W jednym tylko wypadku nie możemy się z nim zgodzić; mianowicie, uroczystości Szach-Seja autor przypisuje zupełnie inne znaczenie, niż to, jakie ona ma według naszego przekonania i według zdania innych pisarzy. Również ceremonje, jakie się odbywają podczas tej uroczystości autor opisuje inaczej niż je widzieliśmy w Szuszy, Erywanie i innych miejscowościach na pograniczu z Persyą. Bardzo być może, że w różnych miejscowościach różnie się ta uroczystość odbywa; co zaś do jej znaczenia, to zapewne ono, pod wpływem miejscowych stosunków, uległo znacznym modyfikacyom. Ztąd więc prawdopodobnie pochodzą różnice w naszych zdaniach o Szach-Seju. Musimy jednak dodać, że Haxhausen, autor znakomitego dzieła o Kaukazie (*Transkaukasia. Leipzig 1856.*) opisuje znaczenie i ceremonje uroczystości Szach-Seja tak, jakeśmy je podali w *Szkicach Kaukazu* (Księgarnia Richtera. 1877). Nie rozpisujemy się w tej kwestji obszernej, w przekonaniu, że czytelnicy pospieszą przeczytać cenne dzieło p. G., a wówczas niewątpliwie zechcą poznajomić się i z innemi dziełami o Kaukazie i w ten sposób wytworzą sobie własny sąd o rzeczy.

Ostatni rozdział autor wyłącznie poświęca działalności Polaków, przebywających na Kaukazie bądź dobrowolnie, bądź też z musu. Rozdział ten ma szczególną wartość dla nas, bo w nim autor żywemi barwami maluje cierpienia, nadzieje i dobroczynną działalność naszych nieszczęśliwych rodaków.

Kończąc, zwracamy uwagę szanownego p. G. na nieliczne zresztą językowe błędy, jak np. na str. 134, gdzie w następnym frazesie nawet i sensu z trudnością domyślić się można: „Tak jeszcze i za Kutarem między gajami na *gęstych* mostkach, na *częstych* strumieniach aż do Samuru. .“

Książka p. H. Jaworskiego składa się z 3 części; w pierwszej podaje *„historyczny rys Kaukazu“*, w drugiej *„Epizody z życia kaukazkiego“*, a raczej różne przygody samego autora i jego znajomych. Część zaś trzecia zawiera polsko-moskiewsko-kaukazką powieść p. t. Ajchanym. Drugą i trzecią część pomijamy milczeniem, a nad pierwszą wypada nieco się zastanowić.

Czytając książkę p. J. ciągle przychodziło nam na myśl, że napisana ona jedynie w celu przekonania wszystkich, że zawojowaniem Kaukazu Moskale ogromnie się przysłużyli całej ludzkości. Na samym początku (str. 3) autor powiada: „Dziś nabyte doświadczenie nauczyło mnie dostatecznie, że bywają wypadki, gdzie niepodległość prowadzi do najokropniejszej niedoli,... że nie forma rządu, ani też nazwa jego naczelnika, lecz instytucye, ściśle zastosowane do stopnia tejże cywilizacyi i oświaty dają dobrobyt i szczęście, dziś powziąłem niczem nie zachwiane przekonanie, że swobody powinne być udzielane według zasług (jak tytuł radcy, naprzykład, czy nie?) stopnia oświaty i moralności.“ Kończy zaś autor swoję książkę temi słowy: „Czyliż to wszystko nie przekonywa nas dostatecznie o potrzebie cywilizacyi i o *obowiązkach jakie ciężą na ościennym narodzie* tego kraju, gdzie brak cywilizacyi i oświaty jest oczywistym“. Prawda, panie Jaworski, że cywilizacya i oświata jest potrzebną, prawda, że dobre instytucye przyczyniają się do dobrobytu i szczęścia, ale błędem jest, że niepodległość doprowadza czasami do najokropniejszej niedoli, bo najstraszniejszą *niewolą* jest *niedola*. Ale o tem nie będziemy się sprzeczać z autorem; zapytamy go tylko zkądże to Moskalom przysługuje prawo rozdawnictwa pigułek swobody według zasług, stopnia oświaty i moralności? Czy z tego tytułu, że są najbliższymi sąsiadami Kaukazczyków? Jeśli tak, to czemużby lepiej stosunek ten nie był odwrotnym? Wszak naprzykład Gruzini i Ormianie mają historyą, poczynającą się w najgłębszym zmroku dziejowym, mają bogate piśmiennictwo, wyrobiony język, ustalone obyczaje; kultura ich stoi bardzo wysoko; byli wreszcie chrześcianami już wtedy, kiedy jeszcze Słowianie wierzyli w bałwany, a o Moskalach nikt nawet nie słyszał... Jaką że cywilizacyą Moskale obdarzyć ich mogą?

Autor szczerze się przyznaje, że nie lubi górali. Z początku powiada, „ludy te posiadały moje współczucie“, ale potem „rozpytywałem się starych żołnierzy, a po wszystkiem co mi mówiono, po każdem własnem spostrzeżeniu, wiara moja w bohaterstwo górali, w ich szlachetność i świętość sprawy, zmniejszała się“. Cóż to za przyczyna tej zmiany? Oto to, że górale odpłacali Moskalom piękne za nadobne, że wojowali bez rękawiczek. Nie przeczymy, wojna o niepodległość Kaukazu pełna scen najstraszniejszego barbarzyństwa, ale któż temu winien? Czy najezdnik, ze swemi hordami zalał cały kraj, czy też górale, którzy uginając się pod okrutną przemocą doszli do prawdziwej wściekłości?

Wszystkie obserwacye autora nad życiem górali doprowadziły go do przekonania, że ci, kiedy pracują, to pracują — mężczyźni na wojnie, a kobiety w polu i koło domu, a „gdy są wolni od pracy, zbierają się mężczyźni i kobiety i zasiadają pod płotem, lub murem, a zdjąwszy niektórzy koszule, inni szarawary, odbywają....“ Wybaczy autor, że przez szacunek dla czytelników i samych siebie nie przytaczamy całego ustępu!

„Żałuję bardzo, — ciągnie dalej autor, że tak *prozaiczny* (prozaiczny!) przedstawiam obraz, ale inaczej, opowiadanie moje, nie będąc ściśle prawdziwem, straciłoby na wartości.“ — O, panie autorze, zmiłuj się!....

My także żałujemy bardzo. — że p. J. swoją książkę napisał; korzyści z niej pono żadnej, a naraził siebie na zarzuty, których tu robić nie chcieliśmy, a nam, czytelnikom, sprawił przykrość.

Wacław Masłowski.

Abchazowie w Polsce. 8ka str. 40 Lwów. Nakładem autora. 1877.

Słowo na dzisiejszą chwilę. 8ka str. 30. Lwów. Nakład drukarni ludowej, 1877.

Autor położył sobie za zadanie przekonać czytelnika, że powstanie w Polsce dziś sprowadziłoby zgubne dla kraju następstwa, a chociaż sam powiada, że nikt u nas o powstaniu obecnie nie myśli, sili się przekonać, że powstanie jest niepotrzebne i szkodliwe.

Nie możemy więc zrozumieć, po co tyle fatygi. Dalej autor twierdzi, że nie można wierzyć Turcyi, bo Turcya nie oglądając się na Polskę, może zawrzeć przymierze, że nie należy liczyć na Anglję, bo ona tylko prowokuje nas (gdzie? kiedy?) tak jak Francya robiła to zawsze (to się nam tylko tak zdawało — to tylko my nasze winy chcemy na kogoś zwalać). Nareszcie autor wskazuje, że należy poczekać na Austryę aż ta nam Polskę odbuduje, albo aż Moskwa to zrobi.

Już to trzeba przyznać, że nie mamy zgoła politycznego zmysłu i słusznie jeden z największych naszych polityków powiedział, że w Polsce zupełny brak tego zmysłu, z którym każdy Włoch, każdy Węgier rodzi się. Tyle już wyszło broszur politycznych a zawierają one tylko czczą gadaninę, wyjątek stanowi chyba jedna broszura p. t. *Co robić?* znakomicie odpierająca wszelkie bałamutne gadaniny *Czasu* i całego szeregu broszuropisarzy, ale także nie stawiająca dodatniego programu. W każdym razie broszurę *Co robić?* najusilniej polecamy każdemu, kto się sprawami publicznemi zajmuje.

Autorowi broszury *Abchazowie w Polsce* odpowiemy, że taką samą, a nawet stokroć większą niedorzecznością jest liczyć na to, że ktoś za nas zrobi, jak nierozważnie samym brać się do roboty politycznej. Dla nas jest jedna jedyna droga, jasna jak dzień i niedostrzegalna chyba dla tych tylko, którzy widzieć nie chcą i dobrowolnie bielmo na oczy zakładają. Tą drogą, jeżeli potrzebujemy mówić, jest *Oświata ludu*.

A. D.

Kiedy patryoci nasi skołataną i dążącą do upadku ojczyznę mieli ratować, i wszystkich starań dokładali do zniesienia szkodliwego w owych czasach *liberum veto*, które stało się wygodnem narzędziem dla Moskali, aby nie dopuścić żadnej pożytecznej uchwały, wówczas Targowiczanie, jako narzędzie Moskwy, wszystkiemi siłami obstawali za utrzymaniem tego prawa, zawiązywali konfederacye, podnosili do spółki z wrogami bunty przeciwko dążącej do odrodzenia się Polsce, i śród nieoświeconych mas znajdywali poplecznikow mówiąc, że nowatorowie chcą obalić złotą wolność Rzeczypospolitej. Dziś, gdy po stu latach cały naród wie, jak szkodliwem było owo *liberum veto*, gdy go zdrajcy na korzyść wroga poczęli używać ciż Targowiczanie, lub w prostej linji ich potomkowie ze swoimi poplecznikami, wierni zasadom jezuickim chcąc zwalczać patrjotów i pociągnąć przeciwko nim nieoświecone masy, wytrwale podsuwają, jakoby patryoci byli zwolennikami *liberum veto*, które to *liberum veto* urosło w ich pismach w jakiegoś potwora.

Autor powyższej broszury należy do tak zwanej kliki Stańczyków, których teoryi nie będziemy tu powtarzali, gdyż są powszechnie znane. W broszurze *Na dzisiejszą chwilę* przedewszystkiem zaleca, aby Polacy milczeli i tchu z ust nie wypuszczając, bo wszelkie wystąpienie, przemówienie lub jakiekolwiek zamanifestowanie się, że są Polakami, że żyją, straszne klęski na kraj sprowadzi ze strony Prus, które dążą, zdaniem autora, do zagarnięcia Kongresówki i tylko czekają na najmniejszą z naszej strony okazyę. Wojna obecna musi, powiada autor, sprowadzić dla nas dobre następstwa, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeli będziemy milczeć i Prusak nie znajdzie powodu zabrania Kongresówki. Te dobre następstwa spłyną, albo ze strony Austryi, jeżeli jej się spodoba odbudować Polskę, (ale i Austrya może odbudować Polskę tylko w takim razie, jeżeli przez mądre milczenie zasłużymy sobie na to, w przeciwnym bowiem razie Prusy, jakby się wcześnie o tem dowiedziały, nie pozwolą), albo co ma być pewniejszem, Rosya osłabiona po wojnie nada

konstytucyę wszystkim swoim ludom, a więc i Polsce Rosya to będzie musiała zrobić. Jeżeli zaś – bo wszystko być na świecie może — jeżeli ani Austrya ani Rosya nic dla nas nie zrobią. to wówczas zaczniemy na nowo pracować nad wyrabianiem sił.

Taka jest treść broszury. Nie wiemy na co potrzebne może być dla nas to wyrabianie sił? tego autor nie powiedział. Więc recepta autora jest: Nic nie robić, milczeć „dziś o Polsce cicho, ani słowa“. Nie będziemy się z autorem sprzeczać, czy lepiej żeby nam Polskę zbudował Moskal, Turek czy Chińczyk, czy Bismark, jak autor przypuszcza także. I wogóle w polityczne rozumowania z autorem wdawać się nie będziemy, bo to nie nasza rzecz. Musimy jednak zwrócić uwagę na charakterystyczny ustęp następujący, w którym autor udziela rady zostającym pod zaborem moskiewskim rodakom: „*Strzedz się takiego układu* (z Moskalami), *który ustępując nam choćby wiele na polu politycznem, żądałby od nas ustępstw na polu religijnem*“. Jest to ustęp charakterystyczny, malujący dokładnie zapatrywania Stańczyków. Ponieważ ten ustęp czytany wprost nie ma sensu, bo Moskale mają religię do celów politycznych i im nie o naszą religię ale o naszą politykę chodzi, więc będzie tylko zrozumiały, gdy go na odwrót przeczytamy: *Wszystko poświęcić na polu politycznem* (narodowem) *dla uzyskania czegokolwiek na polu religijnem* (katolickiem, rzymskiem.)

W broszurze tej podnieść musimy to, że jest pisaną spokojnie bez żadnych grubiaństw i połajanek, tej zwykłej broni Stańczyków. *A. D.*

(*Nadpełtwianin kalendarz humorystyczny na rok 1878.*)
(*Kalendarz polski* (*powieściowy*) *na rok 1878.*)

„O Ryczywole zamilczeć wolę“— powiedział Krasicki, i tej zasady trzymano się u nas względem kalendarzy, ponieważ tutejsze kalendarze wyglądają wobec warszawskich tak mizernie, a częstokroć tak licho, że rzeczywiście trudnoby znaleść odpowiednich słów na naganę. Jednakże milczenie nie wychodzi na pożytek, co roku ilość kalendarzy wzrasta, ale nie są lepsze ani trochę. Konkurencya nic nie pomaga, bo głównie skierowana do ceny a nie do wartości. Wina cięży na publiczności, która szuka towaru najtańszego, choćby był tak lichym jak lwowskie kalendarze. Cena kalendarza lwowskiego była 40 c., od paru lat wobec drożyzny wzrastającej podniosła się na 50, niektórzy jednak dla konkurencyi siłą się utrzymać dawną cenę, która jest niemożliwą. Papier musi być jak najlichszy, druk jak najszkaradniejszy, a treść, ta jedyna strawa dla półmiljonowej czytającej ludności w Galicyi, niżej wszelkiej nagany, zbiór niedorzecznych konceptów i po tysiąckroć powtarzanych przepisów lekarskich i gospodarskich, które pochodzą od czasów Noego.

Reforma kalendarzy możliwą jest tylko przez podniesienie ceny, przynajmniej na 1 zlr. Wydatek taki każdy zrobić może raz do roku. Publiczność oświecona powinna szukać droższych kalendarzy, w których i dla siebie może coś znaleść i głównie da poparcie wydawcom, mającym na względzie nie zysk tylko, ale i dobro publiczne. Potrzeba bowiem pamiętać o tem, jak wielkie jest koło czytelników kalendarzy i w jakim stopniu oświaty stoi dziewięćdziesiąt dziewięć setnych tych czytelników.

Musieliśmy zgóry określić nasze zapatrywania na tutejsze kalendarze, aby czytelnik wiedział gdy będziemy mówili o każdym z osobna, na jakim poziomie stoimy.

Nadpełtwianin wyszedł dopiero po raz pierwszy w b. r. Kalendarz drukowany dwoma kolorami, z dodaniem kartek pustych na notatki. Zawiera: Część I. Przemysł i gospodarstwo. Część humorystyczna i w ogóle literacka dosyć obfita, a względnie do ogólnej u nas treści kalendarzowej wcale nie zła. Szczególnie różności, czyli zbiór anegdot, dosyć zabawne. Wierszy, tylko wierszy jest bez potrzeby zanadto dużo. Język w ogóle bardzo zaniedbany. Pomiędzy lwowskimi kalendarzami *Nadpełtwianin* prezentuje się dosyć dobrze, a zważywszy, że to jest pierwszy rocznik, możemy mieć nadzieję że w przyszłości będzie postępował. Gdyby wszakże nakładca zechciał choć o 10 centów podnieść cenę i obrócić takową na ulepszenie działu literackiego, wieleby kalendarz na tem zyskał. Część informacyjna taka, jak zwykle we wszystkich kalendarzach lwowskich.

Kalendarz Polski także po raz pierwszy się ukazał. Zawiera również kalendarz dwukolorowy z kartkami na notatki. Sporą wiązankę pomniejszych powieści Dzierzkowskiego i anonse bez części informacyjnej. Stosunkowo do swej objętości jest bardzo tanim. Ale już wykazaliśmy wyżej, że taniość jest najgorszą stroną naszych kalendarzy i ona to nie daje możności rozwinąć się im. Spodziewać się jednak należy, że wydawca p. T. H. Richter raz zacząwszy wydawnictwo kalendarza, z każdym rokiem będzie go ulepszał i może od niego doczekamy się właśnie, że da nam kalendarz na wzór warszawskich.

W. Z.

Piśmiennictwo angielskie.

International vanities by Frederic Marschall. 1 vol. London. W. Blackwood.

Bulgarian horrors by M. Gladstone. 1 vol. London.

The hellenic factor in the eastern problem by M. Gladston. 1 vol. London.

Quarterly Review. I. zeszyt z r. 1877.

Edimbourg Review. I. zeszyt z r. 1877.

Pod *próżnościami międzynarodowemi* rozumie p. Fryderyk Marschall: tytuły, ordery, przywileje dyplomatyczne, oficyalne formułki i wszystkie te liczne drobnostki, stanowiące grzeczność w stosunkach rządów i ludów. Daleko łatwiej jest rozmierzyć opisując ilość kroków, które ambasador musiał zrobić na prawo lub na lewo w pokoju audyencyonalnym ministra, niż wytłumaczyć w jaki sposób te reguły przyjęły się i miały w danej chwili swoje znaczenie. Voltaire, którego słowa zajmują nie jednę stronę w dziele pana Marschalla, opowiada w Dykcyonarzu filozoficznym, *à propos* ceremonii, że: chińscy woźnicy obowiązani są w razie najmniejszej kollizyi na ulicy, uklęknąć przed sobą i prosić o przebaczenie w słowach oficyalnie przepisanych.“ Wielki ten satyryk powiada, iż ceremonie służą do uspokojenia umysłów, równie jak i do znudzenia. Gdy woźnicy chińscy odmawiają swe komplementa, mają czas do uspokojenia się, a potem pomagają sobie wzajemnie.

Formułki i grzeczności nie tylko samym woźnicom są potrzebne. Coby się stało z konferencyi politycznej, gdyby przeciwnicy nie byli zmuszeni do konwersowania „po akademicku,“ na wzór chińskich furmanów? Prędko by zaczęli nazywać rzeczy po imieniu (co w obecnych stosunkach nie bardzo by ładnie brzmiało) i o to europejskie pola krwią by się zalały. Wyobraźmy sobie Ignatiewa klnącego sposobem rodzinnym na konferencyi stambulskiej! Wprawdzie smutnem jest to bardzo, lecz cóż robić, skoro w dyplomacyi popełnia się tyle nikczemności, że ich autorów nie można publicznie napiętnować w sposób przyzwoity.

Co się tyczy rozróżnień godności i urzędów, to nie prędko się doczekamy usunięcia tych głęboko zakorzenionych przesądów. Nie mówimy już o dziwactwach innych dawnych przodków, które już są w części usunięte, i które wydają się nam dziecinnemi; lecz na ich miejsce podstawiono nowe wymysły, które naszym potomkom wydawać się będą również śmiesznymi.

Jednakże następstwa etykiety bywają nieraz bardzo smutne. Przypomnijmy sobie tę biedną królowę hiszpańską (jeżeli się nie mylimy, żonę Karola II.), która spadła z konia i zaczepiwszy się o strzemię, wisiała głową na dół w obecności czterdziestu trzech osób ze świty. Posłano tymczasem po granda, który jeden miał prawo dotknąć się do pięty królewskiej. Albo naprzykład czyż śmierć Filipa III., prawnuka Karola V., nie jest pomimo całej grozy katastrofą, godną także uśmiechu politowania? Usiadł on nadto blisko od ognia i nie uważał za odpowiednie swej godności usunąć się trochę. Kazał więc jednemu z dworzanów przygasić ogień; lecz ten oświadczył z całem uszanowaniem, że piecza o ogień jest przywilejem księcia Useda, który na nieszczęście w tej chwili polował w swych dobrach katalońskich. Król przekonał się o ważności tej argumentacyi i nie upierał się wcale. Heroicznie wytrzymał w pierwotnej pozycyi i tak się popalił, że zachorował mocno i umarł.

Czyż w nowszych czasach nie znaleźlibyśmy przykładów, wprawdzie mniej wybitnych, lecz za to o wiele, bardzo wiele szkodliwszych.

Książka p. Marschalla dostarcza pod tym względem wiele interesującego materyału.

Pan Gladstone, słynny angielski mąż stanu, poświęca chwile wolne od zajęć agitatorskich wydawaniu artykułów, które popełniał w materyi politycznej i literackiej przez lat przeszło trzydzieście. Pierwszy tom w tej seryi pożyczył tytuł od sławnego pamfletu o *Okropnościach bułgarskich,* który w swoim czasie narobił tyle hałasu, i w którym znajduje się ów sławny frazes, że: „Turcy są w ludzkości pierwiastkiem przeciwludzkim.“ Drugiemu tomowi pożyczył swego tytułu także pamflet polityczny: *Czynniki greckie w sprawie wschodniej.* Pan Gladstone zabiera tutaj głos w imieniu prowincyi greckich w Turcyi; powiada on, iż te prowincye nie powstały jedynie z powodu przedstawień wielkich mocarstw, które obiecały Grekom prawa równe tym, które Słowianie otrzymają, jeśli tylko cicho siedzieć będą. Dawny Premier żąda wykonania tych obiecanek i stara się przekonać, że rasa grecka nie jest zdegenerowaną, jak to sobie wszyscy przedstawiają, i że ma wiele warunków pomyślnego rozwoju. Praca p. Gladstone kończy się cytatą z Danta, która mogłaby być śmiało jako motto całej rozprawy umieszczoną:

Una selva oscura
Che la diritta via era smarrita.

Pan Gladstone tłumaczy to tak: ciemny las w którym p. Disraeli zgubił swą drogę.

W tym samym tomie znajdujemy artykuł o Macaulayu, który dawniej był umieszczony w *Quarterly Review* i zrobił w swoim czasie sensacyę. Autor rozbiera w nim, z powodu biografji wielkiego historyka, pewne zagadnienie psychologiczne, które nie zostało dotąd stanowczo rozwiązane. W jaki sposób człowiek dobry, uczciwy, pełen poświęcenia i rycerskości, mógł być jednocześnie niesprawiedliwym historykiem, okrutnym krytykiem i pisarzem tak mało szczerym, że nie uznawał swych błędów, chociażby mu je jak na dłoni wykazano? Jednak niekiedy bywało tak z Macaulayem. To samo pióro, które pisało takie czułe słowa do swej rodziny, kreśliło także oskarżenia jadowite, napadające na cześć ludzi, którzy mu nic złego nie zrobili, i gdy przychodzono doń z dowodami, że się omylił, nawet nie słuchał pod pretekstem dziwacznym, że „autor, którego dzieła mają widoki pewne do życia, byłby waryatem, gdyby się zniżał i kłócił z tymi, których dzieła są na śmierć przeznaczone.“

Pan Gladstone tłumaczy ten upór Macaulaya „szczególną konstytucyą jego umysłu,“ która nie pozwalała mu widzieć przedmiotów inaczej, skoro je on już widział w pewnem świetle. Jego niezdolność pod tym względem była „cudowną“ i podobną do tego co teologowie nazywają „nie-

przezwyciężoną ignorancyą." Pan Gladstone zanadto ufa tej niepoczytalności umysłu Macaulaya. Wyobraźmy sobie tylko scenę następującą: pewien sławny pisarz drukuje, iż jesteś zbrodniarzem, szpiegiem itp. Bieżysz do niego i starasz mu się wytłumaczyć, że to nieprawda. Po pierwszych słowach przerywa ci w sposób grzeczny i powiada: Przykro mi panie, lecz to moje przekonanie, i.... — Lecz ja panu daję dowody... — Niepotrzebnie, mój dobry panie; powiadam, że to moje jest przekonanie! — Ależ panie ja dru kiem ogłoszę, że skłamałeś! — Co to mi szkodzi, przecież nikt pana czytać nie będzie, a moje dzieła czyta świat cały!

Trzeba mieć rzeczywiście dziwną „konstytucyę umysłu," żeby zachować krew zimną. Proszę tylko uważać, że rozmowa, którąśmy przyto czyli, nie jest z wyobraźni wziętą, lecz opartą na faktach (patrz Dziennik Macaulaya; rozmowa z kwakrami d. 5go lutego 1849 r.)

Przykrem jest, iż trzeba być surowym dla tak wielkiego umysłu, tak znakomitego pisarza.

Do najznakomitszych czasopism angielskich należą *Quarterly Review* i *Edimbourg Review* ukazujące się kwartalnie. Ani jedno ani drugie pismo nie przyjmują do szpalt swoich utworów fantazyi. Lecz nie samą tylko nauką te pisma zajęte; owszem dużo tam miejsca poświęca się krytyce literackiej, sprawozdaniom z podróży i innym łatwym do czytania przedmiotom. Większość artykułów odznacza się wyborną redakcyą; brak im tylko tej wykwintności w układzie, którą odznaczają się przeglądy francuskie.

Pierwszy tom Quarterly z tego roku odznacza się szczególnie dobrym doborem artykułów. Znajdujemy tom jeden zatytułowany: Krytyk francuski o Miltonie, w którym oddają się szczególne pochwały panu Schererowi. Artykuł o *Speculum regale* wykazuje jeszcze raz więcej, że nie ma nic nowego pod słońcem. To *źwierciadło królewskie* jest książką w rodzaju *Savoir-vivre*, wydawanych we Francji i pochodzi z r. 1190. Napisane jest przez Norwegczyka, który dużo podróżował, bywał w wyższem towarzystwie, i spisał swe doświadczenia. Jest to książka bardzo interesująca ze względu na opisy obyczajów ówczesnych. Znajdujemy tam rady najrozmaitsze i tak np. nie kłaść się na stole podczas obiadu itp. Kwestya toalety zajmuje wybitne stanowisko. Etykieta ubrania była nadzwyczaj skomplikowaną na dworze norwegskim. Jedna barwa była przyjętą; inna znów oznaczała nieposzanowanie i nie można było jej używać w obecności królewskiej.

Inekspryrnable skórzane były dozwolone, gdy tymczasem inne delikatniejsze materye były proskrybowane. Trzeba było w owym czasie uważać bardzo na formę brody, na strzyżenie włosów i umieć dobrze i w stosownej chwili zdejmować kapelusz i płaszcz.

Książka ta musiała oddawać w swoim czasie znakomite usługi w tym labiryncie etykietalnym i młodzież dworska przepędzała zapewne nad nią długie chwile.

Przegląd Edymburski jest tego roku słabszy niż jego rywal *Kwartalny*. Znajdujemy tam studjum o mrówkach szwajcarskich, które jest bardzo dobre i zajmujące, lecz przychodzi trochę za późno.

Bardziej nowem jest sprawozdanie o *listach Pastonów*, rodziny szlacheckiej w Norfolku, pochodzące z XV. wieku. Listów tych zebrało się około 1000 i są one znakomitym materyałem do studjów nad obyczajami angielskimi temu lat 400 obowiązującymi.

KRONIKA WARSZAWSKA.

Warszawa 23. sierpnia 1877 r.

Zamiast wstępu radbym tu streścić w ogóle, czem zajmowało się piśmiennictwo warszawskie peryodyczne w ostatnich kilku miesiącach, jeżeli bowiem które, to pewno warszawskie stara się być o ile możności rzetelnym tłómaczem potrzeb duchowych i materjalnych tak społeczeństwa całego, jako też stolicy kraju. Są to niekiedy drobnostki artystyczne lub ściągające się do życia społecznego, dowodzi jednak ta gorliwość w notowaniu ich, że żaden talent, jeżeli nim jest, nie wysila się napróżno, ani żaden szczegół życia, choćby najdrobniejszy, nie mija bez zwrócenia uwagi.

Z każdą wiosną i latem powtarza się najprzód jedna piosenka o tem, czegośmy najbardziej spragnieni, o wodzie zdrojowej, o szkodliwości wody, którą mamy z wodociągów, zasilających się wyłącznie z Wisły, i o kanalizacyi. Przedmioty te dostarczają wątku tak dobrze naszym fejletonistom i humorystom, jakoteż uczonym popularyzatorom, którzy ze stanowiska naukowego starają się wykazać, ile chorób spijamy używając wody, w której tyle a tyle znajduje się części składowych niepotrzebnych i t. p. Gorliwość ta ma swoje dobre strony. Obecnie wie już z pewnością każdy pauper, w której ze studzien — nie wodociągów — szukać trzeba wody czystej i zdrowej. Taż sama historja z kanalizacyą, która prawdopodobnie przyjdzie prędzej do skutku. Zwrócono bowiem uwagę, że nawet i w tych studniach, które są, woda by się naprawiła, gdyby najbliższe przestrzenie nie były zanieczyszczane odpływami zewnętrznymi. Na to jedna rada, przeprowadzić kanalizacyę, o której myśli już na prawdę magistrat warszawki, a co zapowiedział w odezwie do mieszkańców p. prezydent.

Równorzędne a może i większe znaczenie miało omawianie z wiosną widoków urodzaju. Czy tam bowiem handel przedmiotów zbytku mniej czy więcej zakwitnie, to pewna, że główną podstawą jest zawsze, zwłaszcza dla kraju rolniczego, pomyślny zbiór ziemiopłodów. Choćby stosunki niepomyślne chwilowe nie pozwalały wywieść na targi zagraniczne zboża, wszelako, jeżeli ono jest, nie będzie przynajmniej głodu i zupełnej stagnacyi. Któż zresztą dostarcza najliczniejszego zastępu czytelników, jeźli nie ziemianie? Ci zaś wziąwszy jaki taki grosz za najpierwsze potrzeby życia, zdołają zasilić i przemysł miejscowy i handel, lubo nie popchnąć przez świetne interesa, jednak podtrzymać.

Zaznaczyły także wszystkie niemal pisma, jak w roku bieżącym wyszła konieczność na cnotę. Wielu bowiem, którzy szukali dawnymi czasy zdrowia u wód zagranicznych, musieli go szukać obecnie w Ciechocinku, Busku, Druskienikach a nawet w Ojcowie. Spowodował to głównie spadek waluty na targach zagranicznych, nie wielu zaś było tak zapamiętałych miłośników zagranicy, by chcieli tracić znaczne stosunkowo kwoty wskutek deprecyacyi kursu.

Dobroczynne nasze Towarzystwa są niemi w istocie i w granicach dozwolonych ustawami czynią, co mogą. Jest zaś nie mało do czynienia, gdyż dotąd więcej zawsze ludzi szukających pracy niż pracodawców. Najsmutniejsza zaś ta okoliczność, że to po największej części ludzie niefachowi, wzięliby zatem radzi wszelkie z brzegu zajęcie, byle zapewnić sobie powszedniego chleba kawałek. Obecnie otwierał się ruch na drodze żelaznej nadwiślańskiej, zgłosiło się zatem na te posady, z gotowością przyjęcia najpodrzędniejszych, kilkaset osób.

Z innej strony jest znowu pewien poczet ludzi niższej warstwy, którzy poprostu zdemoralizowani choćby mogli znaleźć pracę odpowiednią, poświęcają swe siły łatwiejszemu sposobowi nabycia tego, czego nie mają, i organizują się w bandy oszustów i złodziei. Co chwila słyszymy o kradzieżach dokonywanych niekiedy zręcznie a najczęściej zuchwale. Mimo starań i zabiegów, oczywiście możebnych, ze strony klas inteligentniejszych, trudno bardzo wyrobić w warstwach niższych zmysł oszczędności. Mamy kasy groszowe, gdzie najuboższy mógłby skromne swe zasoby wnosić, niech w samej rzeczy po groszu tylko, ale cóż kiedy pokusy silniejsze od pamięci na jutro. Nie brak zaś tych pokus na każdym kroku: bawarye i ogródki trzecio a nawet czwartorzędne wyrastają jak grzyby po deszczu. Zabawić się można i trzeba, a zabawa, bez przebrania miary w użyciu, należy do osobliwości u tej klasy ludzi, którzy skazani niby na pracę najcięższą, a jak służba w ogóle, ani pracować należycie, ani służyć wiernie i uczciwie nie umie.

Jako dodatni objaw naszego cichego życia w ogóle a w szczególności obywateli ziemian, są zjazdy rolników, odbywające się w majętnościach tych obywateli, którzy uzyskawszy pozwolenie władz wyższych, objawią chęć urządzenia u siebie takiego zjazdu. Z inicjatywą wystąpili najprzód obywatele powiatów lubelskiego a za ich przykładem idą inni. Mnóstwo spraw ważnych dla rolnictwa omawiają przy tej sposobności. Idzie nietylko o to, ażeby podnieść gospodarstwo rolne przez odpowiednie ulepszenia, ale i zysk możebny z gotowych produktów wyciągnąć bezpośrednio bez pomocy faktorów, idzie też w tych naradach o obmyślenie znośniejszych stosunków z robotnikami rolnymi i służbą; nie są pomijane i takie sprawy, jak drogi powiatowe i t. p., których tu szczegółowo wymieniać nie ma potrzeby.

Z referatu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego dowiadujemy się kilku szczegółów ściągających się do czynności tegoż. Podam tu tylko najważniejsze cyfry. Cała wierzytelność Towarzystwa wynosi 90,644.075 rubli zahypotekowanych na 7.239 dobrach. W ciągu czasu od 13. listopada 1876 do 13. maja 1877 sprzedano 5 dóbr, chociaż wystawionych było na sprzedaż 276 dóbr, gdy jednak Dyrekcya otrzymała zaległości 242 dóbr, a przedała 5, pozostaje pod sprzedażą dóbr 30 od dnia 13 maja r. b.

Przybędzie niebawem poważne jedno pismo, poświęcone dziedzinie gospodarstwa społecznego. Będzie to właśnie wznowieniem dawniej wychodzącego pisma pod redakcyą śp. Sommera, obecnie jednak nie miesięcznie jak było, lecz wychodzić zacznie co tydzień pod znanym z dawna tytułem *Ekonomista*, a pod redakcyą p. Antoniego Nagórnego, starszego dyrektora Banku Polskiego. Z pism młodych, powstałych nie dawniej jak z końcem ubiegłego lub początkiem bieżącego roku, wszystkie trzymają się na pozór tęgo, chociaż konkurencya nie łatwa. Gdyż tak polityczne codzienne pismo *Echo*, jak i miejscowych wiadomości i wypadków pilnujący *Kuryer Poranny* i

takież tygodniowe *Nowiny*, jakoteż *Tygodnik Powszechny* ilustrowany mają licznych, poważnych i silnych a zwłaszcza zasługą z dawnych czasów posiadających ustaloną reputacyę i wzięcie, współzawodników. Trudniejsze może od innych zadanie *Tygodnika Powszechnego* i *Kuryera Porannego*. Pierwszy bowiem musi dobijać się zasługi pod względem literacko-artystycznym obok dawnych tygodników ilustrowanych, które jak wiadomo, co do strony artystycznej rywalizują z rycinami zagranicznemi. Pierwotni założyciele *Tygodnika Powszechnego* nie czuli się widać na siłach, gdyż ustąpili wydawnictwo p Jasińskiemu, młodemu mecenasowi. Nowy wydawca i redaktor dowiódł w krótkim stosunkowo przeciągu czasu, że potrafi odpowiedzieć zadaniu którego się podjął. Część literacka obecnie staranna i dość wszechstronna, jak tego wymaga sam tytuł, pojawiają się też niekiedy i oryginalne, wcale udatne ryciny. Trudny ma także do przebycia nowicyat *Kuryer Poranny* obok dwóch dawnych: *Codziennego* i *Warszawskiego*. Ten ostatni szczególniej, ulubiony przez całą klasę mieszczańską i mnóstwem cieszący się prenumeratorów, nie prędko ustąpi skromnego obok siebie miejsca młodemu koledze. Siła przyzwyczajenia wielka, ze starym znajomym zawsze wygodniej i swobodniej jak z nowym, choćby ten nowy rokował najświetniejsze nadzieje.

Wydawcy dzieł zbiorowych, jak Szajnochy, Kremera, Rzewuskiego, mimo może nie tak pomyślnych w tej chwili czasów dla tego rodzaju wydawnictw, prowadzą je dalej gorliwie. Niebawem także pojawi się ukończone przez Leonarda Sowińskiego dzieło: *Historya literatury polskiej*, doprowadzona do czasów najnowszych. Z powodu nieprzychylnych autorowi powątpiewań z kilku stron wyrażonych, doniósł on sam w jednem z pism tutejszych, że nareszcie tego a tego dnia położył na ostatniej stronnicy niewiadomo którego arkusza: Koniec tomu ostatniego. Literatura nasza historyczna zbogacona została w tych czasach dziełem nie wielkiej objętości, ale nader cennem, a to pracą p. K. Jarochowskiego pod tytułem: *Opowiadania i studya historyczne.* Bez przesady, praca ta służyć może za wzór wszystkim młodym historykom, jak należy wyzyskiwać źródła dziejowe i jakiem powinno być stanowisko autora, jeżeli chce zasłużyć na miano poważnego. Z taką bezstronnością a zarazem surowością,—która znajduje wszelako miarę odpowiednią w miłości autora do przedmiotu i społeczeństwa,—traktowanej rzeczy, dawnoście zapewne nie czytali. Podam tu przynajmniej główne tytuły opracowań zawartych w tej książce:

„1) Przyczynek do dziejów bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim i pierwsze miesiące panowania Jana Sobieskiego; 2) Zabiegi kandydatury duńskiej w czasie bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim; 3) Jan Stanisław Jabłonowski i zatarg jego z królem Augustem II; 4) Epilog sprawy Toruńskiej; 5) Napad Brandeburczyków na klasztor Paradyski i 6) Zamach Augusta II na Warszawę w r. 1704.“ Niepodobna tu rozpisywać się obszerniej o tej pracy, ale postaram się przesłać choć pobieżną jej ocenę w osobnym artykule, gdyż ze wszechmiar zasługuje na to.

Życie nasze codzienne, to jest życie tych, którzy mocą obowiązków lub niemożności ruszenia za miasto, przykuci są do bruku warszawskiego, upływa po części na westchnieniach ku sielance, a po części na napawaniu się powietrzem, które znaleść można w ogrodzie Saskim, w ogrodzie botanicznym i Łazienkach a nakoniec w parku Aleksandrowskim na Pradze. Prawda mamy jeszcze ogródki, albo raczej teatra ogródkowe, gdzie to niby za jednym zachodem użyć można i powietrza i zmysł artystyczny zadowolić a napić się — nie ambrozyi wcale — ale pospolitego bawara. Mówiąc tak Bogiem a prawdą, najmniej w tych ogródkach powietrza, jućcić w istocie świeżego, gdyż jakieś ono tam jest; nie wiele także rozkoszy artystycznej, ale najwięcej dobrego piwa. Nie można wprawdzie twierdzić, że na scenach ogródkowych nie ma wcale artystów, przeciwnie, prowincyonalne to przelotne ptactwo artystyczne posiada nie jeden talent, którego skrzydła rozwinąć by się mogły wspaniale, gdyby,.. otóż właśnie, gdyby nie owo gdyby, którego uchylić nie podobna w takich warunkach, w jakich znajdują się sceny prowincyonalne. W tym roku zjawiło się jednocześnie prawie sześć trup prowincjonalnych — przepraszam — gdyż jedna ze stolicy Wielkopolskiej, Poznania, a zatem pięć ściśle z prowincyi, a szósta z uroszczeniami, przyznać trzeba usprawiedliwionemi poniekąd, towarzystwa artystycznego wielkomiejskiego. Towarzystwo dramatyczne z Poznania pod dyrekcyą p. Doroszyńskiego, zajęło najwykwitniej urządzony teatr ogródkowy zwany z francuska „Belle vue“ przy ulicy Chmielnej. Repertuar tego teatru może zadowolić i gusta wybredniejsze, a gra artystów nie odbija rażąco od wykonania sztuk w teatrach Wielkim i Rozmaitości. Oczywiście, że brak tutaj owej precyzyi i pełni artystycznego wykończenia, jakie zniewalają widza na scenach wielkich, alež trzeba uwzględnić warunki istnienia teatru w Poznaniu a w Warszawie, gdzie tradycya znakomitych artystów, wzory, opieka publiczności i wskazówki krytyki, a nakoniec i inna zachęta, dodaje artystom bodźca i pozwala talentom podnosić się do miary najwyższej, jaką natura uwarunkowała indywidualność każdą. Dość, że teatr ten cieszy się najlepszem wzięciem i że nie stronią odeń i warstwy inteligentniejsze. Komedyę Blizińskiego: *Pan Damazy*, uwieńczoną nagrodą na konkursie krakowskim, powtórzono *jedenaście* razy w Belle vue dzień po dniu i zawsze wobec miejsc przepełnionych publicznością.

Niepodobna nabrać równie pochlebnego zdania o innych teatrach ogródkowych. Są tu i zdolności i talenta nawet, lecz jeżeli są, to skazane na przedwczesne steranie się. Z drugiej strony dyrektorowie tych scen prowincyonalnych hołdują nadto gustowi publiczności tego rodzaju, która woli sceny zbójeckie, djabelskie albo farsy Offenbachowskie. Jedynem urozmaiceniem w rzędzie sztuk podobnych, jak Gałganiarze, Córka zbrodniarza itp., była powtarzaną we wszystkich ogródkach Anczyca „Emigracya Chłopska.“ Ilekroć było krucho z kasą, zawsze jeszcze grana już po kilkanaście razy „Emigracya,“ ściągała publiczność do ogródków. W „Eldorado“ przy ulicy Długiej panuje od początku brzęcząca, chrzęszcząca i skoczna nieraz nad miarę muzyka Offenbacha, Lecoq'a i naśladowców ich. Dziś Giroflé, jutro Helena, pojutrze Kapelusz bandyty czy coś podobnego, kręcą się w kółko, ogródek jednak zawsze pełny. W „Alhambrze“ na Miodowej ulicy mieliśmy nawet gościnne występy byłej artystki krakowskiej pani Parźnickiej. Publiczność i krytyka przyjęły ją, jak na to zasługiwała. Dziwić tylko może, dla czego tej miary artystka nie jest podobno stale angażowaną w żadnym z większych teatrów. Czy Kraków w istocie ma na scenie swego teatru tyle znakomitych artystek, że nie znajduje miejsca dla bardzo utalentowanej i zdolnej? O pozostałych trzech teatrzykach, z których jeden musiał zamknąć swą działalność pseudo-wokalną i pseudo-artystyczną, cóż powiedzieć? W Arkadyi przy ulicy Królewskiej pod kierunkiem p. Trapszy huczy bęben, grzmią trąby albo mordują się zawzięcie w sztukach pełnych efektu poziomego, o które postarały się spółki paryskie, fabrykujące „komiczne komedyo-dramata,“ jak to niedawno czytaliśmy na jednym z afiszów ogródkowych. A jednak też same towarzystwa z tym samym składem mogłyby odpowiedzieć godniej swemu zadaniu gdyby inny kierunek, a raczej inni kierownicy. Trudno o to, bo teraz kto żyw a ma po temu ochotę, uzyskać może koncesyę na założenie towarzystwa drama tycznego. Dotychczasowe rezultaty świadczą, że wolna ta konkurencya nie wychodzi na dobre sztuce, a może i nie na pożytek społeczeństwu. Popsuła zresztą słota w lipcu interesa nie tylko teatrzykom, ale po części i orkiestrze p. Hermana Fliege'go w Dolinie Szwajcarskiej i wszystkim, którzy w tym miesiącu jak na przekorę musieli zamiast pocić się i szukać ochłody, częściej ziębnąć i otulać się. Niestety mieliśmy w ogóle powietrze i nie udawały się wycieczki. Ogłaszała też i administracya żeglugi parowej na Wiśle co tydzień swoje steoretypowe zawiadomienie, że „w niedzielę, w razie pogody sprzyjającej kursować będzie statek parowy od przystani przy Nowym zjeździe na Saską Kępę.“ Pogoda tymczasem sprzyjała z rzadka, więc i nie zbyt częste i liczne odbywały się wycieczki.

Z artystów teatrów warszawskich wielu wyjeżdżało na urlop, a inni chorowali, więc też w teatrze letnim w ogrodzie Saskim składały się przedstawienia ze sztuczek najczęściej jednoaktowych. Między niemi była i nowostka pod tytułem: „Ustęp z życia artysty.“ Autorem jej p. Deryng. Któreś z pism oceniło pracę obecnego reżysera teatru Rozmaitości mniej więcej temi słowy: „Pisywał wprawdzie i Fredro fraszki i Kraszewski również, alež wiadomo zapewne panu D., że quod licet Jovi itd.“ Zdaje mi się, że tak zwięzłe ocenienie przez kogoś innego, uwalnia mię od wdawania się w rozbiór tej nowości. Pracują za to artyści opery i za czasy zimowego sezonu, w którym panowała opera włoska. Przybyła pani Jakowicka i znajduje przyjęcie bardzo sympatyczne, teatr w ogrodzie Saskim zawsze przepełniony, najczęściej kto chce znaleść miejsce, musi starać się o bilet w wigilię przedstawienia. Pierwszy nasz tenor, p. Cieślewski, posiada olbrzymie zasoby głosu, który rozwinął do możebnej potęgi i gdyby nie tak sztywny, gdyby potrafił nadać więcej życia i energii grze swojej obok wykonania często wzorowego części wokalnej, możnaby go zaliczyć do śpiewaków pierwszorzędnych.

W.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów 31. sierpnia.

Lwów na dobre zaczął się ożywiać, nie tylko przez powrót z kąpiel i świeżego powietrza, ale i z tego względu, że wracający przybywają w lepszem zdrowiu, raźniejsi. Nie mało ożywienia, ruchu w mieście przybyło z powrotem młodzieży szkolnej, która przez ostatnie cztery dni sierpnia

zapisywała się do szkół, otwierających się z dniem 1 września. Za dni kilka otwarcie wystawy, na którą także już nie mało gości przybyło. Słowem z pustek i ogólnego zastoju sierpniowego Lwów jakby laską czarodziejską w ciągu kilkunastu dni zamieni się w ludne, gwarne i pracowite miasto. Szczególniej cieszą się tem kupcy, licząc na większy zbyt towarów, których obficie i w najlepszych gatunkach posprowadzali. Panowie ziemianie mieli nie złe urodzaje, niewątpliwie też zechcą podzielić się owocami darów bożych z nami, którzy ani siejem ani zbieramy z pola, a przecież pracujemy na ogólny dobrobyt kraju.

A propos szkół podnieść chcemy ogromny nieporządek jaki panuje w dziedzinie książek szkolnych. Książka polska na 4tą klasę normalną była zapowiedziana ale niedostarczona przez wiedeńskie wydawnictwo książek szkolnych w r. zeszłym, tak że dziatwa rok cały bez książki tak potrzebnej obywać się musiała, a obecnie znowu jej nie dostarczono. W roku zeszłym przyobiecano nadesłać ją za kilka dni i w tym roku toż samo za kilka dni. Jeżeli dzień wiedeński ma 365 dni naszych, to jeszcze nie prędko się doczekamy skutku.

Nie mniejszej wagi jest niedogodność z wydawnictwem książek szkolnych w zeszytach (nb. z policzeniem przy zeszycie I za całe dzieło); dziatwa szkoły kończy, a nie może doczekać się końca dzieła. Zoologii Nowickiego, przed kilku laty przepisanej dla szkół, wychodzi po parę arkuszy rocznie. Dotąd nie jest w całości wydrukowaną, pomimo iż autor nakładca pobrał pieniądze za całe dzieło przed kilku laty. Obecnie wyszedł drugi zeszyt Literatury polskiej Kuliczkowskiego, której zeszyt pierwszy wyszedł w roku zeszłym, a trzeci dopiero jest zapowiedziany. Fizyki Kunzeka zeszyt I wyszedł przed kilku laty i dziatwa za całe dziełko płacić musiała, ale nim druk książki ukończonym został, już inną przepisano. Dla czego inną? Przecież można było tę inną (Rodeckiego) od razu przepisać. Algebra i Geometrya zaczęły wychodzić zeszytami, dopiero mamy po 2 małe zeszyty.

Wzywamy Radę szkolną krajową, aby zaprowadziła lepszy porządek z książkami szkolnemi. Z jednej strony dzieci są obowiązane do kupowania wszystkich książek szkolnych (dla czego są do tego zmuszane, trudno zaiste odgadnąć?) z drugiej dają się jej za drogie pieniądze jakieś strzępki książek. Należy przecież pamiętać, że dla wielu wydany pieniądz na książki jest bardzo drogim, dla wielu nawet tak ciężkim, że nie raz powstrzymuje od kontynuacyi nauk. Niech panowie nakładcy na innej drodze szukają zysków dla siebie, a przynajmniej niech dają to, do czego się zobowiązują. Ale nie tyle mieć można pretensyi do nakładców, którzy porywają się na wydawnictwa, nie obliczywszy się z siłami, jak raczej do Rady szkolnej krajowej, która popiera podobną gospodarkę.

Czyby nie można pomyśleć o reorganizacyi „Towarzystwa wydawnictwa książek szkolnych“, które dotąd zbyt słabe daje znaki życia, a które właśnie mogłoby najskuteczniej zaradzić wszystkim brakom w literaturze szkolnych książek, i rzecz tę tak ważną dla społeczeństwa wprowadzić na nowe tory.

* * *

Gmach Akademii technicznej, najpiękniejsza budowa naszego miasta, jest już zupełnie prawie ukończony. Na Nowym Świecie, wśród zieleni wznosi się poważny fronton, na szczycie którego umieszczone są alegoryczne figury wykonane z kamienia przez profesora Marconiego. Trudno sobie przedstawić coś piękniejszego i bardziej odpowiadającego powadze wyższej szkoły jak ryzalit środkowy, upiększony ciosowemi kolumnami w stylu korynckim. Bez wahania też nazwaliśmy ten gmach „najpiękniejszym“ we Lwowie, tak smutnie się w ogóle prezentującego pod względem architektonicznym. Plany tego budynku monumentalnego opracował p. prof. Zacharjewicz i tą pracą uwieńczył szereg prac gdzieindziej wykonanych w dziedzinie sztuki, tak mało u nas w Polsce uprawianej. Z najżywszą więc sympatyą przyklasnęliśmy wybraniu p. Zacharjewicza na rektora Akademii. Oddanie tej godności w chwili ukończenia gmachu słusznie mu się należało.

Na jednem z posiedzeń Towarzystwa Kopernika prof. Zacharjewicz pokazywał plany nowego gmachu i opowiadał jego historyę. Opierając się na datach wtedy podanych pozwalamy sobie podać niektóre szczegóły, które zapewne czytelników naszych zainteresują.

Gdy przed laty kilku reorganizowano naszą Akademię i nadawano jej kierunek więcej odpowiadający nowym wymaganiom nauk technicznych, uznano konieczność nowego pomieszczenia i zrobiono w tym kierunku stosowne kroki. Akademia mieściła się dotąd w kamienicach przy ulicy Ormiańskiej i Technickiej, ciasnych, brudnych, ciemnych i w najwyższym stopniu niedogodnych. Przeznaczono wtedy na plac budowy nowego gmachu, plac zwany Castrum parcela, leżący przy ulicy teatralnej i dotąd jeszcze niezabudowany. Lecz dla konstrukcyi budynku odpowiadającego podziałowi na szkoły i wymogom nauki plac ten okazał się niewygodnym a nawet niemożebnym. Wtedy zakupiono od hr. Fredrowej plac przy ulicy Nowy Świat., który został powiększony i zaokrąglony dokupionemi sąsiedniemi gruntami. Koszta zakupna tych placów wynosiły około 60000 reńskich. Profesor Zacharjewicz wygotował wtedy projekt gmachu, który został przedłożony odpowiednim władzom i zatwierdzony.

Dnia 12. marca 1873 cesarz zatwierdził ten projekt i przystał na wyznaczenie sumy pierwszej, potrzebnej do budowy w ilości 1300000 złr. Rada państwa, której ten projekt przedłożono, dała mu swoją approbatę, lecz w następnym roku uchwalono rezolucyę, która zmniejszała preliminowaną sumę o 300000. Rozwinęły się wtedy dalsze pertraktacye o zatrzymanie pierwotnego projektu: przy rozprawach zaszły wtedy dość oryginalne i dziwne na naszą delegacyę rzucające światło wypadki. Wiadomo, że suma przeznaczona została nie z funduszów krajowych, lecz ze skarbu państwowego. Otóż do uchwalenia rezolucyi zmniejszającej tę sumę preliminowaną przyczyniły się głosy z naszego kraju, a przy odzyskaniu jej pomagał bardzo usilnie prof. Suess, osławiony napastnik na nasz uniwersytet!

Ciekawiśmy bardzo jakie pobudki kierowały tem oryginalnem postępowaniem naszych reprezentantów, bo biorąc rzeczy na seryo, absolutnie nie możemy odszukać rozsądnych motywów.

Wracając do budowy Akademii, podnieść musimy, iż słusznie rozdzielono ją na dwa budynki; w jednym z nich, głównym, mieszczą się szkoły fachowe inżynieryi, budownictwa i mechaniki, a w drugim chemii. We wszystkich nowych gmachach przeznaczonych na politechniki starano się ten rozdział uskutecznić.

Główny budynek zawiera zbiory naukowe Akademii, bibliotekę, ubikacye administracyjne, oraz sale rysunkowe i wykładowe. Rozwój ubikacyi przeprowadzony jest od środka, tak żeby zbiory były o ile możności w bezpośredniej komunikacji z głównemi wyjściami i żeby wewnętrzny rozkład, nie zważając na formę zewnętrzną budynku, był jak najodpowiedniejszym. To też temu odśrodkowemu kierunkowi odpowiada i architektura stosunkowo bogatsza na wewnątrz, niż na zewnątrz. Z dość stromego westibulu, wchodzi się przez przedsionek parterowy do głównej klatki schodowej bogato udekorowanej, a ztąd przez przedsionek pierwszego piętra do Auli udekorowanej i architektonicznie ubranej w sposób najwykwintniejszy.

To stopniowanie bogactwa form robi ogromne wrażenie, tem bardziej, że klatkę schodową i aulę zaliczyć można do arcydzieł w swoim rodzaju.

Odpowiednio do wyżej przytoczonej zasady i podwórza odznaczają się większem bogactwem form niż zewnętrzne fasady.

Aula z powodu braku funduszów nie będzie jeszcze w tym roku ostatecznie wykończoną i udekorowaną, spodziewać się jednak należy, iż skoro poniesiono tak wielkie wydatki na budowę gmachu, to nie poskąpią niewielkiej stosunkowo sumy na ostateczne jego ukończenie i harmonijne udekorowanie.

Na zakończenie naszego sprawozdania przytaczamy w przybliżeniu wydatki, o ile one obecnie dadzą się obliczyć.

Planowanie terenu kosztowało około .	14,000
Koszta budynku głównego . . .	960.000
Chemicznego Laboratoryum . . .	189,000
Budynek mieszkalny dla pp. prof. chemii	42,000
2 studnie	8,700
Kanalizacya	10,000
Bruki	5,000
Zarząd budowy	65,000
Razem	1,294,578

* * *

Przed kilku miesiącami zwracaliśmy już uwagę na opieszałość Rady szkolnej krajowej w sprawie obsadzenia posad nauczycielskich przy szkołach wzorowych we Lwowie, na które kandydatów Rada miasta Lwowa przedstawiła jeszcze dnia 19 października r. zeszłego. Sprawa ta dotychczas nie jest załatwioną. Jakież mogą być przeszkody? a ostatecznie jeżeli są jakie, toć już było dostatecznie czasu na ich usunięcie. Tem bardziej musimy zwracać uwagę na podobną opieszałość w Radzie szkolnej, że to się dzieje we Lwowie, gdzie łatwa i wszechstronna jest kontrola i że z takich faktów można czynić najniekorzystniejsze wnioski o załatwianiu spraw szkolnych na prowincyi.

* * *

Wystawa krajowa rolnicza i przemysłowa nieodmiennie ma być otwartą dnia 6. września i wszelkie pogłoski o odroczeniu nie mają żadnej podstawy. Do tego czasu mają być ukończone wszystkie ważniejsze czynności około budowy i upiększenia. Na placu budowy ruch ogromny; przewodniczący sekcyi zajęci są ustawianiem przedmiotów, które już w wielkiej ilości nadeszły. Plac wystawy z dniem każdym przyjmuje bardziej skończoną i ożywioną postać. Budynki pra-

wie wykończone i brak im tylko dekoracyi ostatecznych, jak chorągwi, wieńców i t. p. które w ostatniej chwili, jako uwieńczenie całości, rozwieszone będą.

Nasi czytelnicy otrzymają z Tygodniem dzisiejszym pierwszy numer czasopisma „Wystawy“, któreśmy zapowiedzieli. Odtąd więc w samem piśmie spraw wystawowych poruszać specyalnie nie będziemy i zostawiamy tę pracę dodatkowi.

* * *

Ponieważ sejm nie przystał na udzielenie subwencyi dyrekcyi lwowskiego teatru, więc pan Jan Dobrzański, dyrektor teatru i redaktor Gazety Narodowej, oświadczył, że opera lwowska zostanie zwiniętą. Jakkolwiek przykro nam jest pozbyć się od tylu lat już u nas, z takim trudem prowadzonej opery, to jednak mamy tę pociechę, że dramat i komedya rozwiną się na wielką skalę. Skoro subwencja nieprzyznana, to zupełnie słusznie postępuje sobie Dyrekcya, gdyż prowadzić operę mając takie środki jak dotychczas, to za trudno i nie może ona być dobrą. Lepiej więc całą siłę zwrócić na podniesienie sceny dramatycznej, która już nawet teraz, kiedy tyle pieniędzy wydawać trzeba było na operę, jedno z pierwszych miejsc między polskimi teatrami zajmuje.

* * *

Ażeby nie powiedziano, że sejm ważnemi sprawami się nie zajmuje, uchwalił po ożywionej dyskusyi w dniu 28. sierpnia stosownie do wniosku Rady miejskiej lwowskiej podnieść podatek od psów z 2 zł. na 5 zł. Podatek na koty dotąd nie został uchwalony, jest więc nadzieja, że sprawa ta będzie przedmiotem dyskusyi następnej kadencyi sejmowej. Ponieważ kot jest nierównie dokuczliwszem stworzeniem od psa i wrzaskami przeraźliwemi spać mieszkańcom Lwowa nie dozwala, przeto proponujemy nałożenie na kota podwójnego podatku tj. 10 złr. rocznie. A to tem bardziej, że skoro w skutek tak wygórowanego podatku od psów, ilość tych ostatnich zmniejszy się niezawodnie, ród koci przez to znajdując korzystniejsze warunki w walce o byt, powiększy się znacznie i stanie się prawdziwem utrapieniem Lwowian. Sprawa szczurów także dotąd przez nasz sejm nie została przedyskutowaną i nie wiemy, czy to ładne zwierzątko zaliczyć do użytecznych ptaków razem z nietoperzem, czy do szkodliwych. Nareszcie nagląca sprawa myszy, a nie idzie nam o myszy polne, bo te nam szkody nie czynią, ale myszy gryzo-książki upominają się o swoje prawa, których określenie zaniedbane zostało przez tyle znakomitych uchwał sejmowych o pożytecznych i szkodliwych ptakach i zwierzętach *krajowych*. Żaden sejm nie był bardziej, jakby to powiedzieć... bardziej ptasim jak nasz, kochany sejm galicyjsko lodomeryjski. Tyle uchwał i tak doniosłych o przedmiotach, którémi inne nie chciały się zajmować w swej dumie ludzkiej.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Abchazowie w Polsce.* 8ka, str. 10. Lwów, 1877 r. 15 ct.

— *Czapla dr. Fr.* Wścieklizna u zwierząt i sposób w jaki ją ograniczyć można. 8ka, str. 47. Toruń 1877. 48 ct.

— *Gniewosz Jan Nep. z Oleksowa.* O potrzebie rozwoju przemysłu domowego w Galicyi. 8ka. str. 177. Lwów, 1878. 1·20.

— *Grocholski Karol.* Podręcznik dla pszczelarzy. 8ka, str. 88. Lwów, 1877. 80 ct.

— *Kraszewski J. I.* Bracia rywale. Obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII. wieku. 8ka, str. 229. Warszawa, 1877. 1·70.

— *Mocnik dr. Fr.* Arytmetyka i Algebra dla klas wyższych szkół średnich. Z XV. wydania niem. na język polski przełożył Józef Bodyński zeszyt I, II. 8ka. str. 160. Lwów, 1876, z porachowaniem za całość 2 złr.

— *Mocnik dr. Fr.* Geometrya dla wyższych klas szkół gimn. i realnych. Przetłumaczył dr. Tomasz Stanecki. Drugie wyd. zeszyt I, II. 8ka, str. 160. Lwów, 1877, z porachowaniem za całe 2 złr.

— *Powstanie polskie* nad Bajkałem i sprawa Kazańska przez Z. O. 8ka, str. 137. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1878. 60 ct.

— *Skarbek Fr. hr.* Dzieje Polski. Cz. III. Królestwo polskie po rewolucyi Listopadowej. Wyd. pierwsze pośmiertne. 8ka, str. 232. Poznań, 1877. 3 złr. 90 ct.

— *Słowo na dzisiejszą chwilę.* 8ka, str. 30. Lwów, 1877. 10 ct.

— *Tyc Ant.* Dzieje starego i nowego testamentu dla użytku szkolnej młodzieży. Cz. I. Stary testament. Wyd. piąte. 8ka, str. 216. Rzeszów, 1877, 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Pan Stanisław Szachowski, nasz współpracownik, doktor prawa fakultetu paryzkiego, a o którym już donosiliśmy, że po egzaminie nostryfikacji d. 4 lipca otrzymał doktorat praw austryacki, obecnie po habilitacyi z prawa rzymskiego tj. po odbytem z nim *colloquium* d. 25 lipca i wykładzie próbnym, o przedawnieniu skargi w ogólności i *de actione nota*“, został docentem uniwersytetu lwowskiego.

— Donoszą nam, iż dr. Władysław br. Lesser, Warszawianin, mianowany został docentem chirurgii przy uniwersytecie lipskim.

— „Nauka czytania i pisania“ opracowana przez A. Celichowskiego ukazała się w tych dniach z pod prasy drukarskiej p. Ziemkiewicza w drugiem wydaniu.

— Pan Radziszewski, znany tłomacz oper, ukończył w tych dniach przekład operetki Straussa: „Indygo“.

— *Anna z Nabrzeża*, powieść, wierszem Seweryna Goszczyńskiego, wyszła w taniem wydaniu jako 50 tomik Bibljoteki Mrówki (35 ct) wydawanej nakładem Księgarni Polskiej.

— *Literatury polskiej* prof. Kuliczkowskiego wyszedł nakładem Karola Wilda zeszyt II zawierający dalszy ciąg aż do r. 1820.

— *Historja Austryi* Pölitza w polskiem opracowaniu, z zastosowaniem do naszych szkół średnich przez Józefa Tretiaka wyszła już z druku nakładem Księgarni Polskiej.

— Nowa komedya Michała Bałuckiego p. t. *Teatr amatorski*, wkrótce będzie przedstawioną w Warszawie.

— W Królestwie Polskiem prawie w każdem większem mieście wychodzi dziennik. Obecnie zapowiadają nowe pismo w Radomiu pt. *Radomianin*, którego wydawnictwo podejmuje p. Rewoliński. U nas dotychczasowe próby nie wydały pożądanych rezultatów.

— Znany autor *Historyi wieków średnich* i *Historyi starożytnej* p. Tadeusz Korzon, pracuje obecnie nad wykończeniem dzieł: *Historya handlu powszechnego* i *Historyozofia.* Sądząc po pracach pierwszych, które zjednały mu poważne stanowisko w świecie naukowym, oczekujemy, że nowemi wzbogaci bardzo tak zaniedbany dział w literaturze naszej historyi powszechnej.

— Eliza Orzeszkowa napisała nową powieść, której tytuł *Rozłączeni.* Ma być drukowaną w jednem z pism warszawskich.

— *Biesiada literacka* rozpoczęła w ostatnim numerze druk wdzięcznej fraszki Kraszewskiego „Słomiana wdowa“, granej już na scenach warszawskich.

— W dodatku do *Kłosów* spotykamy powieść, pt. „Aniela“, którą napisał po francusku hrabia Wodziński, a przełożył na polskie J. B. W.

— Revue scientifique, czasopismo paryzkie, w zeszycie z dnia 4 bm. (Nr. 5), umieszcza krytyczną ocenę świeżo wydanego w Paryżu dzieła, H. Zboińskiego, pt. „L'armée ottomane, son organisation actuelle“. Autor dzieła, major Zboiński, bardzo zdolny oficer armji belgijskiej, był przez jakiś czas profesorem szkoły wojskowej w Carogrodzie. Dzieło jego zawiera mnóstwo ciekawych i nieznanych szczegółów, a że jest pracą wyłącznie statystyczną i odznacza się znakomitą jasnością poglądów i pewnością źródeł, nosi więc na sobie cechę prawdy niezaprzeczonej.

— P. Józef Wieniawski, dyrektor towarzystwa muzycznego, wrócił z swej kilkumiesięcznej wycieczki artystycznej do Warszawy.

— Teatr zimowy w Łodzi wkrótce już będzie gotowy... Mieścić on będzie 300 krzeseł, 16 lóż i galeryę na 400 osób.

— Trupa baletowa, która w przeszłym sezonie zimowym gościła w Warszawie, bawi obecnie w Wilnie. Do niedawna jeszcze sekundowała jej orkiestra p. Sonenfelda. Łącznie z nią trupa wystawiła ku wielkiej uciesze stare „Wesele w Ojcowie.“

Stowarzyszenia.

— W Prusach Zachodnich istnieje od bardzo dawna instytucya pod nazwą: „Towarzystwo pomocy naukowej dla młodzieży polskiej.“ Siedlisko tego towarzystwa znajduje się w Chełmnie, a prezesem stowarzyszonych jest czcigodny nestor tamtejszych obywateli ziemskich, p. Teodor Donimirski z Buchwaldu. Właśnie w tym czasie towarzystwo to odbyło walne doroczne zebranie, na którem zdawało sprawę ze swoich czynności. Działalność towarzystwa na polu naukowej pomocy dla młodzieży, jest różnostronna, nie tylko bowiem wspomaga ono ubogą młodzież szkół miejscowych, ale oprócz tego udziela pomocy młodzieży akademickiej, przyczyniając się do wytworzenia zastępów fachowo wykształconych ludzi. Pomoc dla młodzieży udzielana jest w charakterze pożyczek, których zwrot zależy od dobrej woli i uczciwości tych, którzy z funduszów towarzystwa korzystali. Z ramienia towarzystwa kształci się nie mała liczba młodzieży po niemieckich uniwersytetach, na różnych wydziałach: najwięcej znajduje się ich w uniwersytetach: berlińskim i wrocławskim, choć uczęszczają i do innych akademii i wyższych szkół technicznych, lub też specyalnych w innych zawodach. Liczba członków towarzystwa pomocy naukowej, w tym roku zmniejszyła się. Należy dodać, że towarzystwo powyższe wielu już swojem staraniem dało krajowi uzdatnionych specyalistów, i to po większej części z klasy biednej, rzemieślniczej, a nawet włościańskiej.

Szkoły.

— Przy szkole żeńskiej w Stanisławowie w b. r. otwartą została klasa 7.

— Gazeta *Sibir* donosi, że niejaki Gubkin ofiarował 800000 rubli na założenie w Kungurze szkoły technicznej. Hojność ta godna zaznaczenia.

Statystyka.

— Z urzędowych danych statystycznych o wzroście ludności w Szwecyi i Norwegii przekonywamy się, iż w Szwecyi od 1800 do 1875 r., cyfra ludności podwoiła się dosszedłszy do 4383291. W Norwegii wzrost ludności jeszcze znakomitszy, od roku bowiem 1801 do 1875, z 883038 ludność wzrosła do cyfry 1817237.

— Według ostatnich obliczeń profesorów Behma i Wagnera w Gotta, kula ziemska ma 142391700 mieszkańców, zajmujących na przestrzeni 2444800 mil kwadratowych, licząc po 582 dusz na każdą milę niemiecką.

Barbarya niemiecka.

— W wielkiem Księstwie Poznańskiem rozkazem gabinetowym z dnia 29. czerwca rb., nadano

następującym wsiom w obwodzie regencyjnym bydgoskim nazwiska niemieckie: wsi Imielinko w powiecie gnieźnieńskim, nazwisko Johannesgarten; Popowo Podleśne,— Johannesruh: Włostwo, — Lostau; Powiadacze,— Sagendorf; Jaszkowo, — Buchheim; Mierucin, — Falkenthal; Wąwelno — Lindenwald.

Nekrologia.

† Z zacisznego kąta inflanckiego dochodzi nas wieść o śmierci Kazimierza Szlagiera, nauczyciela i literata, którego żywot dziwnie był ciężki i ponury.

Szlagier urodził się w roku 1829, w Juszkajcie, wiosce rodzinnej, dziś do gubernii kowieńskiej należącej.

Przeszedłszy chlubnie gimnazyum, znalazł się na uniwersytecie petersburskim, na sekcyi kameralnej wydziału prawnego, zkąd wyniósł stopień kandydata.

W roku 1853 przybył do Wilna... zobaczył teatr i zamarzył o artystycznym zawodzie...

Złudne światło kinkietów oślepiło go; nie mierząc sił i środków wstąpił na deski, po których wówczas stąpali głośni: Surewicz, Dąbrowski, Malewski.

Przetłumaczywszy sam „Hamleta“ wziął na się szaty smętnego królewicza duńskiego i... przytrudnemu nawet dla mistrzów zadaniu nie sprostał.

Więc pożegnał kulisy i w roku 1855 rozpoczął zawód nauczycielski w gimnazyum wileńskiem.

Lecz myślą nie rozstał się ze sceną — owszem kochał ją zda się silniej i dla niej to wierszem dźwięcznym, czystym przełożył Augierowską „Cykutę“ niedawno w *Kłosach* błyszczącą.

W chwilach też wolnych od prac pedagogicznych przelewał na papier uczucia lub rzucał dowcipem i satyrą w krótkich, ulotnych rymach.

Po śmierci jenerała Abramowicza, powołano go w roku 1859 do kierowania sceną wileńską, około której z miłością wielką lat kilka chodził.

W roku 1866 Szlagier przeniósł się do Warszawy i znów wychowawcy podjął się mozołu.

Był od tego czasu do końca bieżącego roku szkolnego nauczycielem w kilku gimnazyach — ostatnio zaś wykładał język łaciński.

Tak pędził Szlagier między sztuką a nauką żywot samotny, pełen znojów i cierni.

Żal i ból w własnej zamykając piersi, ran swych przed nikim nie odsłaniał i zgasł melancholią trawiony.

— W Lipnie zmarł w tych dniach Adolf Ronthaler, miejscowy pastor ewangelicko-augsburski. Zmarły kapłan był powszechnie szanowany. Dał on się też poznać jako biegły pisarz, głównie w „Zwiastunie ewangelickim“ wychodzącym pod redakcją dr. Otto.

ROZMAITOŚCI.

— Dowiadujemy się, że długi miasta Lwowa wynoszą 527.000, co zważywszy na liczne budowy w ostatnich czasach wzniesione, między innemi gmach dla gimnazyum i szkoły realnej, jest bardzo mało. Wprawdzie majątek miejski jest wielki i dochody pokrywają zwykłe wydatki. Może więc Rada miejska bezpiecznie zajmować się reorganizacyą i powiększeniem liczby szkół we Lwowie.

— Zarząd miasta Rozdół (nad Dniestrem w Galicyi) wniósł do sejmu petycyę o przypomnienie władzom ustawy co do utrzymania i obsadzania dróg drzewami owocowemi.

Władza powinnaby się energicznie zająć dopilnowaniem tego przepisu, albowiem przez obsadzenie dróg drzewami owocowemi dwa bardzo ważne cele osiągamy: podniesiemy bogactwo krajowe stosunkowo niewielkim kosztem i upiększymy kraj.

— Lublin, który coraz więcej przybiera pozorów większego miasta i który dzięki istotnie dbałemu o dobro mieszkańców zarządowi funduszami miejskiemi, coraz więcej zyskuje pod względem zewnętrznego porządku, z rokiem przyszłym zamierza zaprowadzić u siebie oświetlenie gazowe. Dotąd przy zbyt trudnej komunikacyi i wynikającej ztąd niemożności sprowadzenia węgla kamiennego, fabrykacya gazu oświetlającego nie była możliwą. Bliskie już otworzenie kolei nadwiślańskiej, niekorzystne te warunki zmieniło na lepsze i dla tego zarząd miasta, któremu Lublin zawdzięcza inicyatywę w wielu bardzo pożytecznych sprawach, poczynił już starania, mające na celu doprowadzenie do skutku i tego projektu. Układy toczą się z pewną kompanją francuską, która żąda dla siebie przywileju wyłączności na lat 44, po upływie których fabryka, mająca stanąć na gruncie przez miasto wydzielić się mającym, wraz z całem urządzeniem przejdzie na zupełną własność miasta. Towarzystwa niemieckie, którym także robiono w tej mierze propozycye, stawiały daleko mniej dogodne warunki. Żałować wszakże trzeba, że mimo usilnych starań nie zdołano zawiązać towarzystwa z krajowych kapitalistów i korzystny dla przedsiębiorców interes prawdopodobnie dostanie się znów cudzoziemcom.

— Siew. Wiestnik donosi, że w pierwszych dniach listopada rozstrzygać się będzie w Petersburgu proces 198 osób, obwinionych o propagandę rewolucyjną. Kilka dni temu senator Peters wręczył obwinionym akt oskarżenia, napisany przez pana Żelechowskiego towarzysza prokuratora. Uwięzionych jest osób 131, mianowicie w Petropawłowsku 40, w więzieniu śledczem 91; inne odpowiadać będą z wolności. Kobiet między obwinionymi jest 34. Prokuratorja powołała do sprawy 427 świadków.

— Biblioteka pozostała po znakomitym historjografie czeskim Franciszku Palackim, zawierająca prócz książek wiele cennych i rzadkich rękopismów, ma być nabytą przez niedawno utworzony uniwersytet w Czerniowcach. Odpowiednie układy są już na ukończeniu.

— W północno amerykańskich Stanach Zjednoczonych istnieje przepis, wedle którego każdy oficer lub żołnierz floty lub armji, straciwszy w służbie nogę lub rękę, otrzymuje od rządu co pięć lat takową sztuczną, lub w razie żądania pieniężne wsparcie, również co pięć lat; za nogę amputowaną 75 dolarów, za rękę, dłoń lub stopę z nogi 50 dolarów. Fabrykanci i dostawcy sztucznych nóg i rąk obowiązani wnosić kaucyi po 5.000 dolarów na pewność dokładnej roboty na lat pięć. W roku zeszłym rząd wydał w naturze 14 rąk, 519 nóg i 12 innych przyrządów. Pieniędzmi zaś opłacono 893 rąk, 11 dłoni, 1.530 nóg, 60 stóp i 876 różnych innych przyrządów.

— Paryski Figaro, który tak dalece dba o czytelników swoich, iż pragnie ich nawet uchronić od dokuczliwości... much — taki podaje w jednym z ostatnich numerów sposób na pozbycie się tego owadu.

W poprzek pokoju, na całą jego długość, przeciąga się nad głowami ludzkiemi najzwyczajniejszy w świecie... sznurek.

Na tak przeciągniętym — zbierają się wszystkie muchy i czytelniczki Figara opędzać się już nie mają potrzeby.

Być może iż we Francyi muchy są tak naiwne — lecz czyżby i nasze na to łapać się dały?

Próbujcie!

— W b. m. ma się odbyć w Kołomyi uroczystość odsłonięcia pomnika wzniesionego ze składek na pamiątkę złożenia hołdu przez hospodara wołoskiego, Stefana, królowi polskiemu, Kazimierzowi Jagiellończykowi, w r. 1485 dnia 15 września.

— I znowu równouprawnienie kobiet do nauki wyższej w uniwersytetach przegrało sprawę w angielskiej izbie gmin. Szanowny Mr. Courtney, po raz dziesiąty może, wnosił projekt, żeby kobiety mogły na równi z mężczyznami uczęszczać do uniwersytetu Cambridge i otrzymywać promocye. Izba odrzuciła wniosek większością 239 głosów przeciw 119.

— Dziwne wyroki wydają czasem sądy angielskie. Przed niedawnym czasem stawiono przed sąd pewnego wędliniarza z Liwerpoolu za to, że szynkę na sprzedaż posmarował chromianem potasu, trującą na organizm oddziaływającym, przeznaczoną w celu odstraszenia od niej much i komarów. Wędliniarz w obronie swojej powoływał się na artykuł prawa, który zakazuje mieszać do pokarmów substancyj dla zdrowia szkodliwych, ale o smarowaniu ich niemi wcale nie wspomina i został przez sąd uwolniony. Ciekawa rzecz, czy gdyby ktoś arszenikiem mięso lub szynkę posmarował dla jakichkolwiek celów, czy wysoki sąd taksamoby z nim jak z owym wędliniarzem postąpił. Historya ta wygląda na wymyśloną anegdotę i nie dawalibyśmy jej wiary, gdyby jej Medycyna z najpoważniejszego medycznego pisma angielskiego nie była poczerpnęła. Prawie jednocześnie dwóch kupców skazały sądy na zapłacenie 5 f. st. kary za używanie tegoż samego chromianu potasu do zabarwiania cukierków „na żółto“.

— Według obliczeń L. Elugneta, bibljotekarza w Lyonie, wysokość produkcji jedwabiu w stanie surowym w średniem przecięciu dochodzi wartości 1.203,440.000 franków. Z tego przypada na Chiny $454^3/_4$ miljonów, na Włochy 227 miljonów, na Francję $143^1/_3$ miljonów, Indye $134^1/_3$ miljonów, Japonję 105 miljonów, Turcyę europejską 39 miljonów, Małą Azyę 29 miljonów. Persyę 28 miljonów i t. d.

— W pierwszych dniach października r. b. zbiera się w Londynie kongres międzynarodowy bibliotekarzy, pod przewodnictwem głównego bibliotekarza muzeum brytańskiego p. Winter Jones. Przedmiotem narad będzie: ustalenie zasad tworzenia, formowania i powiększania księgozbiorów, warunki i wymagania architektoniczne i administracyjno-gospodarcze, jakoto sposoby oświetlania, ogrzania i wentylacyi zabudowań bibliotecznych, a co najważniejsza, udeterminowanie sposobów i zasad formowania katalogów bibliotecznych.

— Z za gór, z za cudzych!

Z za gór donoszą dziś o losach naszej artystycznej braci.

Miller-Czechowska przepływa w tej chwili ocean, zdążając na sezon jesienno-zimowy do Rio-Janeiro.

Waleczna ta śpiewaczka, którą sukcesy w Kairze wysoko „na giełdzie medjolańskiej“ postawiły, wróci zapewnie do Europy aż z wiosną.

Jan Mirski, młodziuchny, wiele zapowiadający barytonista, bohater ostatniego sezonu w Bergamo, występować będzie obecnie w Kremonie.

Małecki, rodak nasz zupełnie w kraju nieznany — debiutuje na scenie narodowej w Peszcie śpiewając madziarskim językiem.

P. Wierzbicki podpisał kontrakt z Marchellim, pannie Janowskiej zaś proponują świetną scritturę.

Oby i innym równie dobrze się działo!

Od Redakcyi.

W. Pan Dr. K. K. w Krakowie. Dziękujemy za uprzejmą pamięć. Na razie jednak korzystać z nadesłanego artykułu nie możemy, gdyż nie mieliśmy dotąd sposobności oglądania dzieła, o którem mowa.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 1. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.